

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
im. Łukasza Górnickiego  
w Białymstoku

# LEGENDY

BIAŁYSTOK 1995

**WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
im. Łukasza Górnickiego  
w Białymstoku**

**LEGENDY**

województw: białostockiego łomżyńskiego suwalskiego

Białystok 1995

Publikacja przeznaczona jest do nieodpłatnego upowszechniania  
w celu popularyzacji literatury regionalnej

zebrała: **Walentyna Niewińska**

**ISBN 83-903234-0-0**

**Wydanie 2**

# SPIS TREŚCI

## WSTĘP

### WOJEWÓDZTWO BIAŁOSTOCKIE

Czechowizna i Twardowski ( jezioro k/Knyszyna) .....	9
Historia miasta Białystok .....	10
Izmir (bagnó wokół Supraśla) .....	10
Jak Czarniecki Szwedów pokonał ( w Tykocinie) .....	11
O kamieniu na granicy wsi (Babin) .....	12
Próba wody (Supraśl) .....	12
Święta Góra (Ryboły) .....	13
Uciekaj (Supraśl) .....	14
Walka wojsk umarłych (okolice Narwi) .....	15

### WOJEWÓDZTWO ŁOMŻYŃSKIE

Białe łabędź (Wysokie Mazowieckie) .....	19
Dlaczego Dobry Las jest właśnie Dobrym Lasem (okolice Nowogrodu) .....	20
Jaś Grajek i królowa Bona (Łomża) .....	24
Niezwykła historia o białym rycerzu z Małego Płocka .....	31
O Górze Zamkowej (w pobliżu Łomży) .....	36
O jeleniu, który wskoczył do łomżyńskiego herbu .....	37
Zbójckie dzieje Pysznego Janka z Czerwonego Boru .....	45

### WOJEWÓDZTWO SUWALSKIE

Bajka o królu ryb (jezioro Śniardwy) .....	53
Czarownica znad Beldan (jezioro na łęgu Mikołajskim) .....	59
Góra Konopki (okolice Węgorzewa) .....	63
Góra Tatarska (okolice Elku) .....	67
Jak powstało jezioro Śniardwy .....	69
Jak powstał klasztor kamedułów we wsi Wigry .....	70
Legenda o diamentowym pierścieniu (jezioro Tałckie) .....	70
O Pięknej Górze (okolice Gołdapi) .....	74
O zaklętych skarbach w Jeziorze Białym .....	74
O założeniu Augustowa .....	75
O założeniu Studzienic .....	76
Opowieść o Tałckim Bagnie .....	77
Pierścień orlicy (baśń mazurska z okolic Mikołajek) .....	79
Sieja w jeziorze Wigry .....	84

## WSTĘP

Niniejszy zbiór, opracowany przez Dział Informacyjno-Bibliograficzny, zawiera kilkanaście legend z terenów województw: białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego. Ma ułatwić zainteresowanym (głównie uczniom szkół podstawowych) dotarcie do informacji o pochodzeniu nazw miejscowych, przechowywanych w tradycji ludowej bądź literackiej.

Przy gromadzeniu materiałów korzystano z kartoteki regionalnej Działu.

Zestaw ten nie jest kompletny, ale zawiera wybór tekstów dostępnych w literaturze pięknej (baśnie, legendy, podania) i prasie. Zamieszczono też teksty drukowane w suwalskich "Krajobrazach", spisane przez Irenę Anikiel, J. Borowskiego, Danutę Dąbrowską, Ryszarda Olszewskiego oraz w Białostockim Informatorze Kulturalnym "Styk" opracowane przez Barbarę Noworolską.

Zauważalna jest wyraźna przewaga legend dotyczących ziemi suwalskiej. Dokonano więc pewnej selekcji materiału. Bardzo pożądane byłoby wzbogacenie zestawu dotyczącego szczególnie województwa białostockiego i łomżyńskiego. Stąd apel do młodzieży, aby zwracała uwagę na informacje o najbliższej okolicy i przekazywała je swoim bibliotekarzom. Może w ten sposób wiedza o naszym regionie ulegnie wzbogaceniu.

Województwo Białostockie jest jednym z najmniejszych województw w Polsce. Jego powierzchnia wynosi około 20 tys. km<sup>2</sup>. W skład województwa wchodzi 10 powiatów: Białystok, Hajnówka, Łomża, Suwałki, Zambrowo, Żeleźno, Augustów, Grójce, Bielsk Podlaski i Wysokie Mazowieckie. Województwo ma granicę z Litwą na północy i wschodzie, z Ukrainą na południu i z województwami Lubelskim, Mazowieckim i Świętokrzyskim na zachodzie.

## WOJEWÓDZTWO BIAŁOSTOCKIE

Województwo Białostockie jest jednym z najmniejszych województw w Polsce. Jego powierzchnia wynosi około 20 tys. km<sup>2</sup>. W skład województwa wchodzi 10 powiatów: Białystok, Hajnówka, Łomża, Suwałki, Zambrowo, Żeleźno, Augustów, Grójce, Bielsk Podlaski i Wysokie Mazowieckie. Województwo ma granicę z Litwą na północy i wschodzie, z Ukrainą na południu i z województwami Lubelskim, Mazowieckim i Świętokrzyskim na zachodzie.

## Czechowizna i Twardowski

Późnym popołudniem w cichej uliczce nie opodal Wawelu rozległ się nagle głośny tętent konia. Po jeźdźcu i rumaku snąc było zmęczenie. Długą snadź odbyli drogę. Głośnym echem odbił się od starych krakowskich murów dźwięk kołatkii szarpniętej niecierpliwą ręką. Biegły chwile, lecz drzwi kamienicy pozostały zamknięte.

- Otwórz w imieniu króla! - zawołał jeździec.

Dopiero na te słowa drzwi się uchyliły i dworzanin wszedł do mrocznej sieni. Gdy oczy przyzwyczyały się do mroku, ujrzał męża w sile wieku w zielonym kontuszku i przy karabeli, który milczącym gestem zapraszał go do wnętrza.

Komnata, do której weszli była nadspodziewanie jasna, pełna ksiąg i rękopisów. Przeszedłszy próg gość odezwał się pierwszy.

- Mości Twardowski, miłościwie nam panujący król nasz Zygmunt August ma do Waszmości prośbę.

Gospodarz skłonił się w milczeniu. - Wiesz Waszmość - kontynuował dworzanin - że ukochana małżonka króla mocno zachorzała. Wywiózł ją Pan nasz do Knyszyna rachując, iż puszczańskie powietrze uleczy królową Barbarę. Ano doktorowie zalecają, aby królowa jeszcze w nagrzanym słońcu, czystym jeziorze kąpieli zażywała. Kłopot w tym, że Narew opodal Knyszyna płynąca wartka jest i chłodna, trochę i bagienna. Król prosi przeto abyś swą czarodziejską sztuką jezioro obok Knyszyna zdziałał.

Zamyślił się Twardowski. Sprawa nie była łatwą. Diabli w wielu już rzeczach pomogli, ale korzyści prędkich nie widząc, już się do pracy nie kwapili, coraz częściej o Rzymie przebrzękując...

Ale jak tu odmówić królowi? Po dłuższym milczeniu czarnoksiężnik rzekł: wracaj do króla i powiedz, że zrobię, co mogę, aby spełnić tę prośbę.

Twardowski czekał nocy. Z dwunastym uderzeniem zegara wezwał diabły i obiecawszy im, iż to ostatnia ich praca, nakazał jezioro opodal Knyszyna zrobić.

Biesy złe jak diabli polecały na północ. A że dla diabłów trochę bliżej, trochę dalej niewiele znaczy, więc zaczęły kopać na polu za puszcza. Lżej będzie - pomyślały. Niechętnie i wolno wzięły się do roboty. Wyrzekały przy tym, że strach. A że przy narzekaniach robota prędko nie idzie, więc świt ich zastał przy pracy.

Był to czas sianozęcia, więc chłopci z pobliskiej wsi o pierwszym brzasku wyszli na łąki. I przystanęli zdumieni - zobaczyli skopaną ziemię, koło której kręcili się jakieś postacie po czesku ubrane. Gdy podeszli bliżej diabły właśnie dokopały się źródła i w tym momencie spostrzegły, że już świt. Ujrawszy na dodatek ludzi pierchły w popłochu.

Woda powoli wypełniła płytki szeroki wykop. A że wieśniacy ujrzeli kopaczy na czeską modę odzianych, jezioro tak powstałe nazwali Czechowizną.

## Historia miasta Białystok

Pewnego dnia książę litewski Gedymin polując w Puszczy Bielskiej zapędził się za turem czy też jeleniem na jej północno-zachodni skraj, aż hen w pobliżu granicy z Mazowszem. Wieczór już zapadł, gdy wreszcie dopadł zwierza nad bezimiennym strumieniem. Do najbliższego zamku w Surażu był spory szmat drogi, a w tej bezludnej okolicy nie było nawet dworzyszca łowieckiego, jakie książęta zwykli zakładać ku swej wygodzie. Nic dziwnego zresztą, ziemie te od niedawna należały do Litwy, a choć możnowładcy domagali się, by je na zawsze zatrzymać, książę nie był pewien, czy za parę lat znów nie wrócą pod władanie Mazowsza. Co prawda w pobliżu znaleziono kilka bud mieniących się szumnie domami i nazywanych przez mieszkańców Starą Wsią, ale książę wolał spędzić noc w naprędcie skleconym szałasie, niż w pełnych zaduchu domostwach. Kopnęli się żwawo osacznicy i rychło na jednym z piaszczystych pagórków stanął książęcy namiot. Podczas gdy strzelcy zajęci byli ćwiartowaniem ubitej zwierzyny, książę odpoczywał nad strumieniem. Był dosyć wartki i w przeciwieństwie do innych rzek i strumieni w tej części puszczy - czysty. Pewnie dlatego, że dno miał piaszczyste i nie płynął jak inne rzeki wśród torfów.

- Czysty, biały stok - powiedział książę. - Można by nad nim zbudować dwór myśliwski albo i wieś założyć.

Woli książęcej stało się zadość. Wkrótce nad strumieniem wybudowano dwór, potem i wieś o nazwie Biały Stok.

## Izmir

W dawnych czasach było dużo bagien wokół Supraśla. Porośnięte trawą, rzadziej - rachitycznymi drzewami, stanowiły miejsce pełne tajemnic, a nieraz i grozy. Bywało czasem, że jakaś tajemnicza siła wciągała człowieka w czeluście bagien i ślad po nim zaginał.

Ludzie niechętnie zapuszczali się w trzęsawiska leśne, chyba że dla zbierania żurawin, czy odurzającej rośliny używanej przeciw molom, zwanej bagno. Rzadko koszono bagienną trawę, gdyż bydlę jadło ją niechętnie. Najczęściej znoszono ją po skoszeniu na suchsze miejsca i ustawiano w stogi na palach, skąd zimą przewożono saniami do gajrody.

Bagno Izmir miało ponoć lepszą trawę, toteż okoliczni chłopci przeprowadzili obok drogi z drewnianych belek i zabierali siano nawet latem. Z czasem Izmir stał się deputatem jakiejś gajówki.

Któregoś majowego wieczoru wracał gajowy z pracy. Słowiki śpiewały, z dala słyszał poszczekiwanie psów. Wieczór był ładny, ciepły i cichy; nigdzie żadnego wiatru. Do domu blisko, więc się nie śpieszył. Księżyc na bezchmurnym niebie świecił jasno. Droga była dobrze widoczna. Idąc nucił wesołą melodię. Czuł się jakiś szczęśliwy i beztroski. Tak dotarł do drogi na bagnie, która znacznie przybliżyła gajówkę. Nie musiał zresztą iść tędy, gdyż nawet drogą leśną, po zakolu,



byłby w domu po kilkunastu minutach. Ale coś go korciło. Droga układana z bełek wydawała się nie tylko krótsza, ale i bardziej urokliwa. Złoty księżyc odbity w wodzie i połyskliwe okrągłaki, mieniające się jak brylanty w jego blasku, pociągnęły gajowego w tym kierunku.

Idzie tak sobie belkową drogą i pogwizduje wesoło, a tu słyszy cichy płacz. Przystanął na chwilę. Cisza, tylko słowiki kłaskają. "Chyba się zdawało" - pomyślał i ruszył dalej. A tu znowu płacz dziecka, tylko jakby nieco głośniejszy. - Co u licha?! - zawołał. I znowu go posłyszał. Teraz był bardziej wyraźny i dochodził zza kępy brzoźek nie opodał. Przystanął i nasłuchiwał uważnie. Nie mylił się. Głos bez wątpienia dziecięcy, przechodzący niekiedy w niemowlęce kwilenie. - Trzeba ratować dziecko! - powiedział do siebie półgłosem. I zaraz skacząc z kępy na kępę, próbował zbliżyć się do niego. Płacz coraz bardziej wyraźny dochodził jakby z pobliskich zarośli. Gdy już myślał, że cel osiągnął, płacz ustawał.

- Czyżbym uległ omamom? - zaniepokoił się gajowy. I w tej chwili posłyszał za sobą kwilenie. Odwrócił się, ale nic nie zobaczył. Czym prędzej chciał wracać do drogi, ale nie mógł trafić. To dziwne, przecież znał dobrze bagno. W Izmirze nieraz kosił siano ze swoim ojcem. Woził je belkową drogą tylekroć...

Strach owładnął gajowym, poczuł krople zimnego potu na czole, ale nie załamał się. A tu znowu płacz dziecka i to w zasięgu ręki. Ciarki przeszły po ciele, bo nie wątpił, że jakaś siła nieczysta wodzi go tak po topieli. Jak trwoga, to do Boga! Przeżegnał się nabożnie i z całych sił zawołał: - Precz duchu nieczysty! - Jak na skinienie czarodziejskiej różdżki, płacz dziecka ustał, na niebie zarysowała się biała linia świtu. Spojrzał w tę stronę i zorientował się, że szedł w przeciwnym kierunku, w samą czeluść bagna...

## Jak Czarniecki Szwedów pokonał

Podczas strasznego najazdu Szwedów, gdy ci cały kraj prawie zburzyli, gdy pomsta doszła do tego, że kobiety zarówno z mężczyznami męczono, znalazł się wtedy wielki wojownik Czarniecki, co wszystkich od Szwedów oswobodził, pokonawszy ich moc i potęgę. Pokonał zaś męstwem, a więcej jeszcze sztucznymi sposobami, których miał używać. Dwie wielkie kule armatnie połączone ze sobą długim łańcuchem, jednocześnie z dwóch oddalonych od siebie armat wystrzeliwać kazał na nieprzyjaciela, którego całe kolumny łańcuch zmiatał z kretesem. Gdy Czarniecki z garstką ludzi był przez wielką moc Szwedów obłożony w Tykocinie, postanowił z wróżby dowiedzieć się, w którą stronę ma z miasta uderzyć na nieprzyjaciela, aby wojsko swe ocalić i wyjść zwycięsko. Z samego więc środka rynku miejskiego puszczono czarną świnię, a w stronę, w którą ta wyrwawszy się pobiegła, uderzył ze swymi Czarniecki i Szwedów pokonał.

Lud utrzymuje, iż w bliskości okopów, pod Tykocinem zwanym zamczyskami, Czarniecki ukazywał się niegdyś przejeżdżającym w nocy starą drogą do Tykocina. Miał on chodzić po gościńcu z księgą rozwartą w rękę i w ubiorze, w jakim jest na pomniku wystawionym.

## O kamieniu na granicy wsi

Nad Narwią o wiorst jedenaście od miasta Tykocina ku południowo-wschodowi leży wieś Babin, zamieszkała przez zagonową, czyli częstkową, szlachtę. Otóż, jak niesie podanie, przejeżdżała tędy i popasała razu pewnego w Babinie królowa Boniowa. Królowa, chcąc hojnie obdarzyć jednego ze swych dworzan, oznajmiła, iż da mu tutaj taki obszar ziemi, jaki konno zdoła on objechać w wyznaczonym czasie. Dworzanin, kreśląc granicę darowanej mu przez królową posiadłości, przekroczył miedzę sąsiedniej wsi Rzędzian, zamieszkałej do dziś przez liczną szlachtę Rzędziańów i innych. Szlachta rzędziańska, ujrzawszy przywłaszczającego ich posiadłości, stawiała natychmiast opór dworzaninowi, który w tym zatargu granicznym, w bójkę, miał życie stracić. Pochowano go w polu przy granicy, w miejscu gdzie poległ, o czym dowiedziawszy się, królowa kazała na grobie umieścić kamień z wykutym krzyżem i jakimiś literami, które wyzłocono. Kamień miał stać na granicy wsi Rzędzian i Babina.

Inny kamień z wykutym krzyżem miał się znajdować na granicy tegoż Babina ze Złotoryją, lecz wyrzuconym ma on być od lat wielu w brodek, czyli błotnisty strumyk, na granicy tych wsi się znajdujący, gdzie w wodzie daje się widzieć.

## Próba wody

Przed wieloma wiekami, kiedy nie było jeszcze w Supraślu klasztoru, a w jego miejscu szumiały nieprzebyte puszcze, przyjechali do źródeł Sprzęśli Ojcowie Bazylianie. Kraina, do której przybyli, była rzadko zaludniona. Mieszkał tu lud ubogi, choć pobożny i do pracy skory. Przeważali w nim myśliwi i rybacy. Na podmokłych łąkach nad Sprzęszą pasło się bydło dające niewiele mleka, że nie zawsze starczało dla dzieci. Ponieważ pól uprawnych nie było, żywiono się głównie upolowaną zwierzyną, jagodami i leśnym miodem.

W puszczy były królewskie smolarnie, zwane majdanami. Ich produkty wywożono na tratwach do dalekich miast. Ojcowie Bazylianie nauczyć mieli tę puszczańską ludność uprawy roli i sadownictwa. Nie byli jednak zdecydowani, gdzie osiąść. Miejsce, do którego przybyli, nie nadawało się na wznoszenie klasztoru. Teren był zbyt niski i podmokły.

Wśród mnichów zapanował smutek. Jęli wypytywać ludzi o najbliższe wzgórze, na którym można by klasztor postawić, lecz wskazywane okoliczne pagórki ich nie zadowalały.

- Bracia w Chrystusie! - odezwał się ich przełożony - nie martwmy się o miejsce osiedlenia. Bo czyż w Piśmie Świętym nie napisano: "Nie troszczcie się o to, co będziecie jedli i pili. I w co się będziecie odziewali?"

- Duch Święty przemawia przez Ciebie, Ojcze! - odrzekł nieśmiało młodszy braciszek.

- Posłuchajmy więc Pisma i zdajmy się na wolę Nieba! - podchwycił najstarszy

brat. Reszta skwapliwie przytaknęła. Niepokój ustąpił, lecz problem pozostał nadal, a było nim miejsce osiedlenia. Poszli tedy mnisi nad rzekę, okolica urocza: lasy, łąki i wielkie rzeczne zakole. Ale na założenie klasztoru było tutaj za nisko. Zresztą teren malaryczny, pełen olch i komarów. A w dodatku wilki wyły wśród nocy, że aż strach! Trzeba było raz po raz podsycać ognisko. Późno położyli się spać.

Nad ranem spór rozgorzał na nowo. Wtedy za radą ojca przełożonego udali się na modlitwę. Trwali w niej przez cały dzień i całą noc, i dzień następny, nie jedząc i nie pijąc. Kiedy zbliżał się kolejny wieczór, przełożony wstał z kolan i zawołał: - Ojcowie i Bracia! Bóg nam wskaże miejsce osiedlenia, tylko trzeba Mu zaufać. A teraz zbudujemy tratwę i położymy na niej drewniany krzyż. W którym miejscu się zatrzyma, tam zostaniemy.

- Chwała Bogu! - wykrzyknęli zgodnie zakonnicy.

Zbliżała się kolejna noc. Mnisi rozpalili wielkie ogniska, aż luna świeciła nad lasem i w jej świetle ścinali wiekowe sosny, które padając do wody zaczęły ją spiętrać, że aż miejscami występowała z brzegów. Bali się, by nie zalała ogniska, więc tym zwawiej pracowali, obcinając konary i zbijając kloce. Kiedy tratwa była gotowa, ułożyli na niej krzyż długi na dwanaście łokci, bo tyłuż było apostołów, a siedem szeroki - od ran Chrystusa.

Po ułożeniu krzyża przeżegnali go i puścili tratwę z prądem rzeki. Sami zaś wrócili do miejsca, gdzie mieli obozowisko. Teraz już bez pośpiechu zbudowali kilka dodatkowych tratw dla dobytku, zwierząt, i dla siebie. Na koniec zbili jeszcze tratwę dla poświęconego dzwonu, który miał zawisnąć na cerkiewnej dzwonnicy. Tratwę z dzwonem puścili nasamprzód i popłynęli.

Noc była ciemna i w pierwszej chwili zdawało się, że nie ujrzą już więcej tratwy z dzwonem, popłynęła warko i zniknęła im z oczu za najbliższym zakolem. Ujrzeni ją dopiero, kiedy księżyc wyjrzał zza chmur. Płynęła śródkiem rzeki, a mosiężna szyja rozsyłała blaski na wszystkie strony.

O wschodzie słońca ukazały się wielkie łąki, pełne przeróżnego kwiecica, a pć przeciwległej stronie rzeki, tuż pod wielką skarpą porosłą wiekowymi dębami, ujrzeni tratwę z krzyżem. Jakby przyciągana magnesem druga tratwa wioząca dzwon, zatrzymana na chwilę w biegu, gwałtownie zmieniła kurs, kierując się do brzegu. Mnisi z trudem pokonując w tym miejscu bystry bieg rzeki, przepłynęli w kierunku tamtych tratw. Stanęli tuż za nimi, dziękując Bogu za cud. Bardziej dogodnego miejsca na założenie klasztoru nikt z nich nie mógł nawet wymarzyć.

Kilkanaście lat później na owym cudownym wzgórzu wznosiła się już piękna świątynia, najwspanialsza w owym czasie w tej krainie.

## "Święta Góra" - Ryboły

Tam, gdzie zbiegają się granice gruntów wsi Ryboły, Pawły i Miniewiczze, na wysokim lesistym wzgórzu znajduje się uroczysko zwane Świętą Górą. Kiedyś na tym wzgórzu stała cerkiew, w której modliła się ludność z okolicznych wsi. Wtedy

różnie się żyło ludności, raz lepiej, raz gorzej. W takich chwilach ludność robiła się pokorna i pobożna, nie opuszczała żadnych nabożeństw w cerkwi. Ale zdarzyło się, że kiedy było dużo plonu na polach i zwierzyny łownej w lasach - ludzie zapomnieli o Bogu. Szerzyła się rozpusta, a cerkiew stała pusta. Pan Bóg postanowił ukarać niewierny lud. Na pierwszy dzień Wielkanocy, gdy się zebrała większość ludzi na nabożeństwie, cerkiew raptem zapadła się pod ziemię. Od tej pory co roku o północy, pierwszego dnia Wielkanocy, kiedy w nowo wybudowanej cerkwi we wsi biją wszystkie dzwony, każdy kto przyłoży ucho do ziemi na szczycie Świętej Góry usłyszy płacze i jęki bezbożnych ludzi, którzy zapadli się pod ziemię wraz z cerkwią.

## Uciekaj

Ulicę Nowy Świat w Supraślu, a zwłaszcza jej dolną część wraz z przylegającymi do niej chaszczami nad rzeką, nazywają miejscowi "Uciekaj" lub "Uciekajka". "Jeśli mieszkasz na Uciekaju, to będziesz w Raju" - mawiano kiedyś żartobliwie. Dzisiaj nikt już tego porzekadła nie pamięta, a i rzadko kto z młodych ulicę tę nazywa Uciekajem.

Ulica Nowy Świat zaczyna się przy "Świętej Sośnie" i prowadzi z góry prosto do rzeki Supraśli, zwanej ongiś Sprzęślą. Wzdłuż rzeki rozciąga się zagajnik i trzęsawisko porośnięte rachitycznymi drzewami, krzakami jeżyn i trzciną. Jest to jedyne miejsce w Supraślu, gdzie można jeszcze usłyszeć słowika.

Nie opodal bagna stoi najstarsza fabryka miasteczka, pracująca jeszcze na maszynach z roku 1923. Nieco od niej w górę ciągną się małe domki wrosnięte w ziemię, pamiętające powstanie 1863 roku. Niestety, ząb czasu pożera je nieubłaganie.

Opowiadał pewien starzec zaraz po II wojnie światowej, że dobrze pamiętał czasy "miatierzy". Do lasu szli "pany" i tam mieli swoje rządy: zbierali podatki, powoływali rekruta, żeby cara obalić. Ale car był mocny i panów się nie bał. Tylko z rekrutami to już było gorzej... Bo to głównie rzemieślnicy - młodź czeladna rwała się do powstania. Sprytni to byli chłopcy i niejeden "cyrkuł" rozbroili. A żandarmom kazali zdejmować portki i w kalesonach uciekać do miasta.

Powstańcy mieli swoje skrzynki kontaktowe, za pomocą których przekazywali rozkazy i informacje. Rolę taką często spełniały kapliczki zawieszane na starych drzewach rosnących wzdłuż głównych traktów. Namnożyło się tych kapliczek w czasie powstania! Jeszcze teraz jadąc w kierunku Krynek i Sokółki można je spotkać, chociaż mocno nadpsute i szczerbate od starości.

"Miatieżniki" - opowiadał ów starzec - szanowali cudzą własność, nie kradli, nie czynili rozbojów, tylko jak co zarekwirowali, to dawali zaświadczenie opatrzone pieczęcią Rządu Narodowego, który po wygraniu powstania obiecywał wszystko uregulować "dokumentnie". Niestety, za mało ich było, tych "leśnych" ludzi. Bronili się mężnie, stawiając opór regularnej armii wroga.

Nad pewnym jeziorem, czy zalewem, którego nazwy nie pamiętał ten naoczny

świadek tamtych czasów, stoczono ostatnią bitwę na tych terenach. Dużo ludzi zgięło zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie, że aż woda w jeziorze zabarwiła się krwią. Ci z powstańców, którzy ocalili, przedzierali się leśnymi ścieżkami w kierunku Białegostoku. Niektórzy dotarli do Supraśla i po krótkim odpoczynku ruszyli dalej. Jeden był słaby od ran i upływu krwi, więc ukrywał się w bagnie. Dobrzy ludzie przynosili mu posiłki, opatrywali rany, a kiedy poczuł się na siłach, przynieśli mu cywilną odzież, która miała go chronić w drodze do domu. Niestety, znaleźli się tacy, którzy wydali go w ręce policji. Kiedy szli mundurowi, by go zabrać, wyrostki krzyczały: "Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj!". On jednak nie miał sił na to. Chwiejąc się na nogach, próbował dotrzeć do wielkiego lasu. Tam go dopadli i zatkali nahałkami. W miejscu jego śmierci, na skrzyżowaniu dzisiejszych ulic: Czyliczańskiej i Sławińskiego postawili ludzie wielki drewniany krzyż. To miejsce Supraślanie nazywają "Czerwonym Krzyżem" nie tylko dla koloru farby jaką jest pomalowany, ale i od krwi przelanej za ojczyznę. A tę dzielnicę miasteczka nazywają Uciekajem lub Uciekajką.

## Walka wojsk umarłych

Między wsiami Krzywcem i Kotówką, leżącymi o lekką milkę od miasta Narwi, zaszła była za Jana Kazimierza bitwa Polaków ze Szwedami. Miejsce, gdzie pogrzebano ciała poległych, zowie się mogiłkami albo szańcami. Jest nieuprawne, zarzucone kamieniami, zarosłe leszczyną, dziką różą i głógiem. Zostaje ono w dziwnym, pełnym trwogi poszanowaniu: ze czią i bojaźnią wchodzą na nie dzieci, a w nocy z daleka omijają. Jeśli się tam bydłę zabałamuci do późna, nawołują je lub czekają, aż samo wyjdzie. Skąd ta trwoga i cześć? Stąd, że dusze poległych swoich i nieprzyjaciół ciągle się tam błakają i błakać będą aż do dnia sądnego. A nadto, w każdą rocznicę bitwy, której dnia i miesiąca dobrze nie wiedzą, wstają oba wojska z grobu i walczą aż do północy, z równą nienawiścią i zaciętością. Słychać trąbki, rzenie koni, szczęk oręża, krzyki zwycięzców, jęki konających. Nawet jeśli noc księżycowa, widać uganiających się za sobą rycerzy. Gdy kur zapieje, wszystko znika do przyszłego roku.

# WOJEWÓDZTWO ŁOMŻYŃSKIE

## Biały łabędź

Dawno, dawno temu jeden z książąt mazowieckich założył nad rzeką Brok, prawobrzeżnym dopływem Bugu, niewielki gród. W obrębie murów miejskich niewiele było miejsca, budowano więc domy wysokie i wąskie. Od nowych smukłych kamienic miasto nazwano Wysokim, a że należało do książąt panujących na Mazowszu - Wysokim Mazowieckim.

Mieszkańcom grodu żyło się spokojnie, trudnili się rolnictwem, drobnym rzemiosłem, no i oczywiście handlem.

Od pewnego czasu opodal miasta, w zaciszu krzewów, uwiła sobie gniazdo para łabędzi. Odlatywały jesienią do ciepłych krajów, ale z podmuchem wiosny wracały na powrót na stare miejsce. Mieszkańcy grodu polubili te wspaniałe ptaki o długich śnieżnobiałych szyjach. Przyglądali się często ich płynnym pełnym wdzięku ruchom. Wzruszyła zwłaszcza burmistrza łabędzica sunąca po falach z gromadką szarych piskląt na grzbiecie. Ochraniając małe z lekka rozsuwała skrzydła. Wyglądały wtedy jak ładowna towarem białoburta koga kołyszająca się na wodzie.

Mieszczanie często rzucali swym pięknym ptakom kawałki placka, odrobinę chleba czy trochę ziarna. A łabędzie tak przywykły do ludzi, że wychylały ku nim swe giętkie szyje i trzepotały z radości skrzydłami.

Przyszedł jednak rok, który zakłócił spokojne życie grodu. Wielkie upały wysuszyły ziemię. Słońce wypalało plony. Raz wraz w rozgrzanym mieście wybuchały pożary, bardzo groźne przy stłoczonych budynkach. Wielu ludzi straciło całe swe mienie. Wielu zostało bez dachu nad głową. Deszczowa i zimna jesień nic nie zmieniła na lepsze. Wraz z chłodem i słotą weszła do miasta choroba, która dręczyła ludzi. Zappełnił się miejscowy cmentarz. Rajcy miejscy wysłali delegację do księcia z prośbą o pomoc. Posłowie wrócili jednak z pustymi rękami. W całym księstwie działo się bowiem podobnie i szukających pomocy było bardzo wielu, a skarb książęcy nie grzeszył obfitością. Przygnębiony burmistrz i zropaczeni rajcowie wyszli za mury, by spojrzeć z daleka na miasto tak im drogie. Miasto, którego mieszkańcy nie zdołają ocalić. Ostatnia nadzieja na pomoc zawiodła. Sami, bez zapasów, wśród szerzącej się zarazy czuli się bezsilni i zapomniani przez Boga i ludzi. Powoli godzili się ze śmiercią miasta. Odruchowo skierowali się w miejsce zwykłych spacerów nad brzegiem rzeki, do łabędzich gniazd.

Jakie było ich zdumienie, gdy w ten chłodny dzień późnej jesieni zobaczyli na falach białą łabędzicę, która jak zwykle przywitała ich trzepotem swych wielkich skrzydeł i jak zwykle wyciągała w ich stronę swą długą, śnieżną szyję. Ptak był wyraźnie zmarznięty, ale jak zawsze spokojny i majestatyczny. Na jego widok burmistrzowi i rajcom wróciła otucha. Poczuli, że nie są sami, zapomnieni przez wszystkich. Energicznie zabrali się do szukania żywności. Rozeszli ło-

dzie i wozy po zapasy do odległych ziem. Rychło też nadszedł duży mróz i wraz z nim skończyła się szerzyć choroba.

Z wdzięczności dla ptaka, który nie zostawił ich samych w nieszczęściu, umieścili jego wizerunek w herbie miasta, by pamięć o łabędziu żyła wiecznie w ludzkiej pamięci.

Do dziś godłem Wysokiego Mazowieckiego jest biały łabędź płynący po wodnej toni.

## Dlaczego Dobry Las jest właśnie Dobrym Lasem

*(okolice Nowogrodu)*

Nawet najstarsi Kurpie mieszkający w Dobrym Lesie niedaleko Nowogrodu zapytani, dlaczego ich wieś nosi taką niezwykłą nazwę, najpierw długo grzebią w pamięci, a następnie odpowiadają z wahaniem:

- Ano, bo kiedyś, kiedy jeszcze wszędzie szumiła gęsta puszcza, pewnikiem znajdował się tutaj dobry las. I łownego ptactwa, i łownej zwierzyny było w nim mnóstwo. Ludziska wiele pożytku mogli mieć wtenczas ze swojego boru i dlatego tak go sobie nazwali. Znaczy się z wdzięczności za życie łatwiejsze i dostatniejsze niżli gdzie indziej.

Trzeba przyznać, iż w tych kurpiowskich domysłach tkwi ziarno prawdy. Niestety, ziarno to dziś stanowczo za mało. O przeszłości Dobrego Lasu pod Nowogrodem powinno się wiedzieć znacznie więcej, bo naprawdę warto.

Wszystko zaczęło się w początkach XIII stulecia, kiedy ksiązę Konrad Mazowiecki sprowadził z Palestyny zakon rycerski pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, aby dopomógł mu w podboju ziem graniczących z Mazowszem. Ziem zamieszkiwanych przez krnąbrne i zuchwałe plemiona Prusów, żyjące nadto w pogaństwie, bez świętej wiary.

Wielu trudnych spraw i tragicznych wydarzeń nie przewidział wtedy nieszczęsny władca Mazowsza. Gdyby przewidział je choć w części, nigdy by rycerzy teutońskich na słowiańskie ziemie nie wzywał. Nie przypuszczał, ale bo też i przewidzieć było nie sposób, iż święty zakon już na ów czas knuł w wielkiej tajemnicy swoje plany nie mające nic wspólnego z chrześcijańskim miłosierdziem. Plany podstępne, a przy tym okrutne i grabieżcze.

Zaledwie zakon ów osiadł na wydzielonej mu przez księcia ziemi chełmińskiej, natychmiast sfalszował umowę zawartą z Konradem, tak by stała się podstawą do zorganizowania własnego państwa. Po czym za pomocą miecza, ognia i szubienic począł nawracać na wiarę chrześcijańską plemiona Prusów, Jadźwingów, Żmudzinów i Litwinów. Korzystając z prawa zwycięstwa zajmował podbite tereny i ustanawiał na nich swoje komturie, natomiast rodowitych mieszkańców albo mordował, albo zamieniał w niewolników. Niestety, wkrótce zakonowi rycerskiemu spod wezwania Najświętszej Marii Panny i tego było mało. Wilczy apetyt wzmagął się w miarę wzrostu zbrojnej potęgi zakonu.



Niewiele lat upłynęło, gdy z obrońców i sojuszników księcia Konrada zakon rycerzy noszących na lewym ramieniu białe płaszcze z czarnym krzyżem stał się pierwszym wrogiem również i Mazowsza. Coraz częściej i coraz głębiej zapuszczały się w bory mazowieckie oddziały rycerzy krzyżackich na ciężkich koniach zakutych w zbroje oraz pieszych knechtów i pachołków. A gdzie się pojawiały, wszędzie niosły śmierć i pożogę.

Dla mieszkańców Kolna, Nowogrodu, a także i Łomży istnym nieszczęściem było zamczysko zbudowane przez Krzyżaków w niedalekim Szczytnie. Komtur tamtejszej twierdzy co i raz wyprawiał się lasami na mazowiecką stronę, by nieoczekiwanie wyłonić się ze swoimi zbirami przed wsią albo nawet i grodem i z wrzaskiem wojennym atakować spokojne siedlisko. A potem z łupami i jeńcami znikać szybko w ostępach. Zanim książęce rycerstwo zorganizowało pogon, Krzyżaków witały trąby triumfalne z murów twierdzy w Szczytnie.

Łomża należała już wtedy do grodów warownych. Miała też silny zameczek na wzgórzu nad samą Narwią. I załogę niezbyt może liczną, za to czujną, wyśmienicie wyćwiczoną i bitną. W znacznie gorszej sytuacji znajdowali się mieszkańcy Nowogrodu. Rzemieślniczej osady położonej głębiej w lasach i nieco bliżej krzyżackiej twierdzy.

Któregoś dnia tuż przed zachodem słońca do Nowogrodu wpadł na puszczańskim koniku smolarz z boru wołając:

- Białe płaszcze z czarnym krzyżem znowu w lesie! Przed północą tu będą. Krwawy komtur ze Szczytna ich wiedzie. Ratuj się, kto cało chce unieść głowę!

Na wieść straszliwą niewiasty podniosły babski lament. Natomiast mężczyźni wybiegli zaraz z domów i ciasno otoczyli smolarza. Pojawił się również i wójt książęcy.

- Sławko, a dużo ich lezie przez puszcę? - zapytał żywo. - Może warto zbirom stawić czoło tutaj? Z wałów, zza wysokiego ostrokołu powitalibyśmy ich gęsto strzałami. Każdy z naszych jest przecież wcale niegorszym łucznikiem. Strzał zaś i łuków mamy pod dostatkiem. Kobiety przygotowują nam wrzątek w dzbanach i roztopią smołę. Czy sądzisz, że dotrwamy w obronie, dopóki pomoc rycerska nie nadejdzie z Łomży? Zaraz pchnę do grodu gońca na najszybszym koniku.

- O pomoc słać trzeba, panie wójcie. I to nie zwlekając - przytaknął smolarz. Przede wszystkim po to, by ukarać zbójców krzyżowych za podstępny napad.

- Przemko, bierz mojego Siwka i gnaj do Łomży na złamanie karku.

Nie zdążył jeszcze młodzik zniknąć na koniu za wrotami, gdy wójt powtórzył pytanie:

- Ilu Krzyżaków na nas idzie? Myślisz, że zdołamy się skutecznie obronić za palisadą?

Sławko pokręcił głową.

- Nie sądzę, panie wójcie - odpowiedział. - Więcej tu ciągnie krzyżackiego robactwa ze Szczytna, niżli mrówek bywa w leśnym kopcu. Zakuci są od nóg po łby w żelazne blachy. Strzały z łuków, nawet te najcelniejsze, nijakiej krzywdy pancernom wyrządzić nie mogą. Poza tym myślę sobie, że zbójce napadną na osadę

pośrodku dzisiejszej nocy, przy gwiazdach, licząc, że idą na śpiących. W nocnych ciemnościach zaś, wiecie to nie gorzej ode mnie, panie wójcie, najlepszy łucznik ślepy jest niczym stare krecisko.

- Co więc nam radzisz, Sławko?

- Moja rada szczerą, panie wójcie. I chyba jedyną - smolarz popatrzył ludziom prosto w oczy. - Uchodźć trza z chałup, póki jeszcze pora. Wraz z dobytkiem kryć się zaraz w puszczy. I siedzieć cicho w norach pod krzakami - nikiej borowe myszy. O świcie komtur na pewno wyśle szpiegów do lasu, aby odszukali zbiegów. Wścikły będzie, że ludziska uszli mu z majątkiem i trzodą. Aby go trochę ułagodzić, kaźcie koniecznie, panie wójcie, pozostawić w chlewie kilka wieprzaków. Nażrą się zbójcecy rycerze do syta, to z pewnością staną się leniwi. A wiadomo, syty pies nie kąsa tak jak głodny.

Wójt nie namyślając się długo przyznał rację dzielnemu smolarzowi.

- Słusznie radzisz, Sławko. Tak właśnie postąpimy. Pozostawimy Krzyżakom siedem tłustych świń na pożarcie. I gromadkę kur. I jeszcze parę beczulek łomżyńskiego piwa. W jamie za studnią pozostawimy też w ukryciu Józika od Rudników. Pacholek to co prawda młody, gołowąs, ale prześcipny wielce i odważny jak się patrzy. Nie strachający ani piekielnego diabła, ani żelaznego rycerza z czarnym krzyżem. Gdyby lotry objedli się i przysnęli mocno po piwie, przyczołgałby się do nas. Wówczas powróciłibyśmy tutaj po cichutku i sprawili zbójom krwawą łaźnię.

- Dobrze miarkujecie, panie wójcie. Zróbcie, jako żeście rzekli. A teraz bywajcie - smolarz pociągnął konika za uzdę. - Na mnie najwyższa pora. Żonę z dziećskami i krewniaków wraz z dobytkiem muszę zabrać co rychlej do boru i ukryć w bezpiecznym miejscu. Potem wrócę do was. Gdzie zalegniecie z wojami, panie wójcie?

- W jarze pod Borutowym Dębem. Albo w szuwarach nad Wiedźmowym Bagienkiem. Tam nas szukaj.

W osadzie nie było na co dłużej czekać. Wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci, najprędzej jak tylko mogli, opuszczali oboje i wraz z dobytkiem śpieszyli w las. Jedni mieli tam zawczasu przygotowane kryjówki w starych dziuplach, inni jamy wryte wśród gęstych zarośli i zamaskowane z wierzchu krzakami jałowca lub kłującego głogu. Jeszcze inni liczyli na gniazda z tataraku uwite w moczarowym sitowiu.

Smolarz Sławko pośród nowogrodzian mógłby uchodźć za człeka umiejącego czytać w myślach innych. Zamiary krwawego komtura ze Szczytna przewidział bowiem akuratnie.

Krzyżacy zaatakowali Nowogród, kiedy już było dobrze po północy. Wpierw podeszli ostrożnie i bezszelestnie pod same wrota, po czym z bojowym wrzaskiem wdarli się błyskawicznie do środka, gotowi mordować każdego, kto wyskoczy z pościeli i pochwyci za oręż.

Napastnikom odpowiedziała martwa cisza. W osadzie nawet samotny pies nie zaszczekał. Poganiani przez rycerzy knechci i pacholkiwie rzucili się do

gorączkowych poszukiwań. Przetrzęsneli chałupy po kolei od piwnic po stryszki. Nadaremnie. Nigdzie nie napotkali żywego ducha. Oczywiście, jeśli nie liczyć kilku kotów miauczących przeraźliwie ze strachu oraz kilku wieprzków pozostawionych nie wiedzieć czemu w największym chlewiku. O bogatych łupach trudno było marzyć. Wszystko, co przedstawiało jakąś większą wartość, poznało z zabudowań bez śladu.

Widząc fiasko wyprawy komtur wpadł w furję.

- Ktoś musiał tych nędzników uprzedzić! Ktoś musiał wyjawić im nasze tajne plany - ryczał na całe gardło, aż gęsta piana wystąpiła mu na gębie niczym u wściekłego wilka. - Może te leśne krety mają swojego szpiega w Szczytnie? A może to sprawa włóczących się wszędzie Cyganów? Srogie śledztwo przeprowadzę zaraz po powrocie. Na mękach w katowskiej komnacie nawet niemowa i głuchy przyzna się do winy. A teraz ruszcie mi się żwawo, tby zakute w żelazo. Natychmiast rozstawić wokół straże. Kto wie, czy te przeklęte Mazury nie próbują powrócić tu nocą z toporami. Rodzona babka przyśni się temu, kogo przyłapię na drzemce. O świcie spróbujemy odszukać w puszczy i zbiegłych ludzi, i ukryte bydło. Ani myślę wracać do zamku z pustymi wozami.

Wójtowa pułapka nie powiodła się. Józik od Rudników pozostawiony w kryjówce za studnią nie zdołał wyczołgać się z osady. Zresztą nie miał po co. Komtur co prawda kazał zarznąć wieprzki i upiec nad ogniskiem, ale beczutki z piwem od razu wziął pod klucz. Nikomu z rycerzy nie wydał ni tyka. Nie dziwota zatem, iż krzyżackie straże czuwały na wałach trzeźwe i wściekłe. I że na czas dostrzegły wójtową drużynę skradającą się od lasu.

Ostrzelani z cokołów nowogrodzianie musieli wycofać się pod osłonę boru.

Rankiem w jarze pod Borutowym Dębem doszło do śmiertelnego starcia. Patrol złożony z sześciu knechtów padł pod ciosami mazowieckich toporów, lecz zgiełk bitewny ściągnął do jaru kilkunastu konnych oraz całą sforę pieszych. Wójt i jego ludzie oddaliby tam pewnie życie, gdyby nie smolarz Sławko, który powiodł ich w bagna. Zakuci w ciężkie blachy Krzyżacy nie odważyli się ścigać zbiegów po moczarowisku ustępującym niebezpiecznie pod nogami.

Przetrzęsanie zarośli przez knechtów dla wielu z nowogrodzian zakończyło się tragicznie. Wkrótce wozy pełne dobytku, a także niewiast, młodzików i dzieci powiązanych sznurami, potoczyły się w kierunku Szczytna. Krzyżacy triumfowali.

Wojowie z drużyny książęcej, przybyli z Łomży na odsiecz, wraz z ocalałymi z najazdu nowogrodzianami natychmiast popędzili za rabusiami, rycerzami spod wezwania Najświętszej Marii Panny. Niestety, przed granicą dopaść ich nie zdołali.

Po wygaszeniu pożarów i pogrzebaniu zabitych mieszkańcy Nowogrodu zgromadzili się na targowym placu, aby wysłuchać swojego wójta.

- Trzykrotnie zbóje ze Szczytna napadają na nas zdradziecko, trzykrotnie kryjemy się, gdzie kto może, i wszystko nadaremnie. Za każdym razem ponosimy straszliwe ofiary. Tak dalej być nie może. Musimy temu zaradzić. Zwłaszcza że na pomoc książęcą trudno liczyć o każdej godzinie. Abyśmy sami mogli walczyć z czarnymi krzyżami, abyśmy mogli szarpać ich z za każdego krzaka, nie dając

zbirom ani chwili spokoju w Puszczy-Zagajnicy, musimy być pewni losu naszych matek, żon i dzieci. W tym celu trzeba znaleźć dla nich prawdziwie bezpieczną kryjówkę. Taką, której przekłete krzyżackie knechty nigdy odkryć nie zdołają.

- Jestem dokładnie tego samego zdania co i wy, panie wójcie - poparł go dzielny smolarz. - Co więcej, ja chyba znalazłem odpowiednie miejsce, łysinę pośród boru godzącą się na takie właśnie schronienie.

- Gdzie, Sławko? Czy aby nie za daleko? A czy miejsca wystarczy tam dla całej osady? I czy zmieści się tam nasze bydełko? - ze wszystkich stron posypały się pytania.

- To kawałek drogi, niestety. Za to luzu tam dosyć. I dla kobiet, i dla dzieci, i dla wszelkiego majątku. Mówię o gęstym lesie pośród niedostępnych mokradeł Wiedźmowego Topieliska. Można tam dotrzeć brodząc Pisą u samego brzegu. Wędrowanie rzeką ma i dodatkową zaletę: krzyżowe zbóje nie wytrpią uchodzących, nawet gdyby pogonili za nimi z tresowanymi brytanami. Po wodzie żaden pies nie poprowadzi, nie wyczuje śladu.

Kiedy po dwóch miesiącach Krzyżacy znowu wtargnęli do Nowogrodu, nie zastali w chałupach żywej duszy. Chlewy i kurniki zionęły pustką. Nikogo też nie było w dotychczasowych kryjówkach w okolicznych chaszczach. Opędzając się nieustannie przed borowymi łucznikami na podobieństwo niedźwiedzia oganiającego się przed łowiecką sforą, rycerze i knechty musieli zawrócić w kierunku granicy, tym razem nie uwożąc ani jeńców, ani łupu.

Kolejna wyprawa również zakończyła się klęską Krzyżaków. W leśnych potyczkach stracili kilkunastu ludzi, w zamian zaś nie zyskali nawet chudego wołu.

I za jednym, i za drugim razem, niewiasty i dzieci nowogrodzian wraz z całym dobytkiem znajdowali bezpieczne schronienie w dobrym lesie nad Pisą.

Cyganie wędrujący od Szczytna do Łomży opowiadali nieco później na nowogrodzkim ryneczku, że po ostatniej nieudanej wyprawie komtur krzyżacki ze złości rozpękał się przed zamkową fosą na siedemdziesiąt jeden kawałków niczym smok wawelski. Może to i prawda, bo nikt nigdy więcej już o nim nie słyszał. W Puszczy-Zagajnicy pojawiali się potem krzyżacy komturowie, choć inni, lecz również zbójcecy. No, ale to już należy do zupełnie innej opowieści, na którą, być może, również przyjdzie pora.

Z czasem część nowogrodzian przestała powracać do swej osady, na stałe pozostała w dobrym, bezpiecznym lesie. A wieś, która powstała na owej polanie, do dziś nosi tę wdzięczną nazwę. Oto dlaczego dobry las stał się Dobrym Lasem.

## Jaś Grajek i królowa Bona

Było to w jedną noc styczniową. Mróz, który od kilku tygodni się srożył i Narew grubym okrył lodem, sfolgował właśnie nad wieczorem, a leciutki śnieżek pokrył ziemię. Powietrze było zupełnie ciche i tak łagodne, iż po siarczystych

mrozach zdawało się ciepło jak na wiosnę. Księżyc, chociaż niepełny, przyświecał jasno, a w jego blasku złodowaciałe drzewa i suche badyle polnych chwastów iskrzyły się jak gdyby ze srebra i brylantów samych złożone.

Mogło być około północy, gdy Jaśko-Grajek wracał po lodzie z Narwi do domu, bo jakoś tej niedzieli rychlej się skończyły niżli zwykle tany w karczmie, w której grał właśnie. Był to sobie rześki, dwudziestoletni parobczak, z rzemiosła swego pastuch bydląt w Łomżyńcu, a z zamiłowania grajek. Chodząc za stadem swoim przez lata całe ze skrzypkami nieodstępny, tak się doskonale wygrywał na nich wyuczył, że aż rozkosz było słuchać. Toteż choć młody, poczynał już mieć sławę w okolicy, dziewczki uśmiechały się do niego radziej niż do drugich parobków, a gdzie było wesele albo tany w pobliżu, trudno się obyło bez Jasia.

Otóż tedy powracał sobie po lodzie z karczmy do domu, a że mu jeszcze czmerzało parę kieliszków w czuprynie, wygrywał sobie po drodze to wesole, to rzewne piosneczki, jak mu która na myśl przychodziła. Właśnie, przeszedłszy szczęśliwie przez rzekę, mijał pagórek, na którym kiedyś stało zamczysko Bony, gdy wtem stał się przed nim dziw, który go od stóp do głów przejął mrowiem. Tuż przed oczyma jego rozwarła się nagle jedna ściana pagórka i z ciasnego jej otworu ukazała się piękna pani, wystrojona jak na święto, cała od złota i klejnotów. Jaś, choć mu w głowie czmerzało, widział, że to coś nie po ludzku się dzieje. Chciał się przegnać, ale mu smyczek przeszkodził, zawołał więc tylko na głos:

- Wszelki duch Pana Boga chwali!

- I ja Go chwale - pokornie i rzewnie odpowiedziała strojna pani - choć nim oglądać Go stanę się godną, wieki, wieki jeszcze miną! - z cichym dodając westchnieniem.

Jaśko, skoro tylko pierwsze słowa jej postyszał, uspokojony, że nie z diabłem ma do czynienia, nie dając na resztę uwagi, zdjął czym prędzej z głowy baranią czapkę i kłaniając się do nóg, zaczął prawić:

- A toć mi wybaczcie, Imościulu! zem się was wyląkł gdyby czego złego... Ale dalibóg - bo i skąd się też Imość o tej porze tutaj wzięła?... Albo, pflu! czym ja pijany, czy co? Czyć mi się to jeno widzi, że to my tutaj nad Narwią, w szczerym polu - a to, ot, że niby zamkowa góra - hę?

- Dobrze ci się widzi, mój człowieku. Toć to jest zamkowa góra, a ja nieszczęsna ta królowa Bona, com na niej kiedyś mieszkała!... Ach, ciężko się nagrzeszyło, ciężko też pokutuję teraz! W zapadłym zamczysku moim dręczą mnie i poniewierają złe duchy, tylko ta jedna godzinka przed północą, o której za życia, bywało, pacierz mawiałam, wolna mi od mąk zostaje... Ale co ci o tym prawić! Choćbyś chciał, pomóc mi nie zdołasz... Oto uczynię przynajmniej jedno, co możesz. Słyszałam, jakeś, idąc, ślicznie wygrywał piosenki, zagrajże i mnie z jedną, ze dwie jakie, to zapomnę choć na chwilkę o mojej srogiej niedoli.

To mówiąc zjawisko niewieście spojrzało Jankowi w oczy tak miłosiernie prosząc, że chociaż dowiedziawszy się o jej godności, rad był wziąć nogi za pas i drapnąć do domu, nie mógł się oprzeć milczącemu błaganiu i podstroiwszy skrzypce, zaczął grać jej k' woli śliczną piosenkę:

*Choćbyś ty jeździł we dnie i w nocy ,  
Choćbyś wyjeździł koniowi oczy.*

*Tak ja twoją nie będę!*

Bona słuchała z zachwyceniem. Ach! bo i ktoś by słuchać mógł bez niego tej cudnej mazowieckiej pieśni? - cóż dopiero ona, nieboraczka co od lat tyluset nie znała innej muzyki, tylko wycia i śmiechy diabła? Jaś też grał, co się nazywa, doskonale. Nie umiał ci on wystawiać smyczkiem po strunach takich dziwnych skoków, jak na przykład dzisiaj niejedyn okrzyczany szarlatan, ale od pierwszego dotknięcia skrzypek tak się duszą całą wmyślił w piosenkę graną, że zapomniał o Bonie i strachu, o wszystkim wokół siebie, wyśpiewując w głębi duszy słowa, których nutę wygrywał. Toteż jednostajna melodia piosenki z każdą zwrotką nabierała nowego wyrazu, ruchu i dźwięku, a kiedy przyszedł w myśli aż do tych słów dziewczyny:

*A ja się stanę gwiazdką na niebie,  
Będę świeciła ludziom w potrzebie.  
Tak i ja twoją nie będę!*

do nieporównanej odpowiedzi chłopca:

*A ja mam litość nad ubogimi,  
Ta proszę gwiazdkę z nieba do ziemi -*

skrzypki Jasiowe tak czarującym odezwały się głosem, że Bonie z czarnych oczu trysnęły dwie jasne łez krynice i dwiema kroplistymi strumieniami z twarzy na wznoszące się piersi spadały.

- Dzięki ci, dzięki! - zawołała, kiedy skończył - za te łzy, któreś mi wycisnął. Ach, nie pojmujesz sam, ileś mi dobrego sprawił. Łzami tymi wyciekło z duszy mojej więcej złego, niżli ogień czyścicowy przez cały rok mógł strawić... Ale słyszysz? oto północ bić zaczyna - muszę wracać na pokutę! Bywaj zdrów, a pamiętaj, jeśli kiedy będziesz potrzebował pomocy w jakiejś potrzebie, przyjdź, zagraj tylko pod tą górą, a ja wynijdę do ciebie. Nie zapomnij tylko pory: w godzinę przed północą!

Wtem na wieży łomżyńskiej fary zegar uderzył dwunasty raz. Bona skoczyła w czarną czeluść pagórka, która się za nią zawarła, a Jaś posłyszał taki ryk i jęk, i brzęk łańcuchów, że zatykając uszy, pobiegł wystraszony ku domowi; odmawiając z cicha pacierz za zbawienie pokutującej królowej.

\*

Słońce poczęło wyżej wzbijać się na ziemię i ciepławy południowy wiatr powiewał po lesistych Polski płaszczyznach, niosąc na skrzydłach swych młodą wiosnę, otoczoną śpiewnymi chórami skowronków i szczebiotliwych jaskółek, ciągnącą za sobą długie wędrownego plectwa sznury. A w miarę jak ten zgiełkowy orszak niewidzialnej bogini przebiegał ponad niwami, topniały lody w brylantowe krople i śnieg poczerniały rozptywał się w tysiące strumyków, brzmiających po

kamykach we wtór wiosennego ptactwa świergotowi. Bładozielone łąki stroiły się w pierwsze stokrotki; nagie jeszcze rosochate drzewa radośniejszą już przybierały barwę, zdało się, że pod ich grubą, szorstką korą widać krążenie soków, a długie ich ramiona, poruszane wiatrem przelotnym, nie przerażały już tym kościotrupim stężytałych członków chrzęstem, lecz uginając się lekko, miłym odzywały się szumem. Nawet posępna, krzywokonarzysta sośnina, obwiana tchnieniem młodzieńczym wiosny, zdawała się odmładzać żywszą barwą i balsamiczną rozlewała wonność.

Jaś po raz pierwszy wygonił swoje bydelko na świeżą pastwę, na łąki bujne, brzegiem lasu się ciągnące. Zachwycony pięknnością bożego świata pochwycił nieodstępne skrzypki i zasiadłszy na próchniejącym pnisku starej jakiejś olchy, patrząc w jasnobłękitne niebo i słuchając tajemniczych głosów, z głębin jego brzmiających, wylewał serdeczną muzyką przepelniając duszę błogie uczucie. Biedny Jaś, biedny poeta grajak! Zapomniał na śmierć, że był pastuchem dworskiego bydła. Przez przezroczyste niebo widział Boga w całej chwale i wszechmocy, otoczonego chórami aniołów, i zdało mu się, że sam, stawszy się także aniołem wygrywał na swych skrzypkach chwałę Przedwiecznemu...

Z marzenia tego zbudził go nagle okrutny, boćkowski kańczug spadających mu gradem ciosów na plec i ramiona.

- Ha! psia, chamska duszo niegodziwa! - wrzasnął z konia gruby pan ekonom - tak to pasiesz pańskie bydło? Dam ja ci muzykę, złodzieju!... - i grzmocił batogiem dalej.

Jaś, z bólu i strachu wypuściwszy skrzypki, zobaczył stado swoje rozpierzchnione po pastwisku i po bliskiej ozimynie, po kępinach i zaroślach, uchodząc pod niemilosiernym batogiem, pobiegł je zganiać w gromadkę. Rozperzony ekonom tymczasem grzmiał jeszcze długo przekleństwami i groźbami, aż przypomniawszy sobie o czymś innym, pogalopował dalej.

Po kilku godzinach znojnego biegania udało się Jasiowi zegnać wreszcie do kupy wszystko bydło rozpierzchnione, lecz gdy je zebrawszy wziął liczyć - o zgrozo! - przekonał się, że czerwonej Łysej nie dostawało. Próżno jej dowoływał, próżno szukał w pobliskich zaroślach, a dalej odchodzić nie śmiał, żeby się wszystko nie rozeszło znowu. Co było robić? Pognął przed czasem stado do dom, a zamknąwszy w oborze, sam odszedł choćby noc całą szukać straconej jałówki. Ale nie potrzebował trudzić się zbyt daleko, zaledwie przyszedł w pierwszy gęsty zagaj, znalazł poszarpaną świeżo skórę swojej zguby, rogi i kopyta. Czerwoną Łysą wilki zjadły!

Jęknął Jaś na ten widok jak przybity i zdrętwiał cały, myśląc o karze, jaka go czeka.

- Boże, mój Boże! - wołał łamiąc ręce - cóż ja nieszczęsny mam począć?... Albo mi się utopić, albo się powiesić!...

Wtem przypomniał sobie Bonę i obietnicę, którą mu uczyniła. "Tonący brzytwy się chwyta", a tak i Jaś, choć go mrowie przechodziło na samo wspomnienie zamkowej góry, odważył się i szedł szukać pomocy u pokutującej królowej. Staął

u zamkowej góry właśnie w sam czas, bo tylko co była jedenasta wybiła; przeżegnawszy się więc pobożnie i poleciwszy Panu Bogu, począł wygrywać na skrzypkach. Niezadługo otworzyła się przed nim jak niegdyś ściana pagórka i Bona w królewskim wyszła stroju.

- No, jak się miewasz, przyjacielu - zapytała Janka. - Jakoś smutnie ci dziś z oczu patrzy; powiedzże, co się stało i jakiej chcesz pomocy.

- Ach, oświecona królowo! - rzekł grajek - stało mi się ciężkie dziś nieszczęście. Zagapił się człowiek pasąc bydło, a czerwona Łysa tymczasem w las zalaża i wilcy ją pożarli! Poradź, pomóż, zlituj się, miłościwa pani! bo mi się chyba utopić przyjdzie.

- Nie rozpaczaj no tylko przed czasem, chętnie ci dopomogę. Jałówki wprawdzie zjedzonej nie wrócę, ale dam ci tyle pieniędzy, żebyś albo inną kupił, albo panu ją zapłacił. Ileż, myślisz, będzie ci trzeba?

- Ano, Icek dawał panu za nią ośm talarów, ale pan nie chciał inaczej tylko dziesięć. Jeszcze sam zapowiedział: "Pamiętaj, Jasiu, możesz oddać Ickowi czerwoną, jak ci zapłaci dziesięć talarów". Ale Icek na moje nieszczęście nie przyszedł.

- Dobrze tedy - mówiła Bona - ja ci dam dziesięć talarów, a będziesz mógł powiedzieć, żeś bydło sprzedał, ale po pieniądze sam sobie iść musisz do lochu. Stoi tam jedna kadź talarów, to sobie odlicz, co ich potrzeba. Pamiętaj tylko, żebyś ani na włos nie brał więcej, bobyś popadł w moc złego, a na to ja nic bym nie mogła już pomóc.

Jasiowi nie było miło, że sam musi leżeć w głąb góry, ale że nie miał innego wyboru, zebrał całą odwagę do serca i poszedł. Czarnym, krętym korytarzem zaszedł do ogromnej piwnicy, a w której od srebra, złota i drogich kamieni widno było gdyby w dzień. Pod jedną ścianą stała kadź szeroka, pełna pod wierzch bitych, błyszczących talarów. Jaś drżącą ręką odliczył ich sobie dziesięć - przeliczył jeszcze raz drugi, czy nie wziął przypadkiem za wiele, i schowawszy je dobrze za nadrą, pobiegł, nie oglądając się, na powrót. Wydostawszy się na wolne powietrze, odetchnął, jakby się na świat na nowo narodził, a podziękowawszy serdecznie Bonie, wrócił szczęśliwie do domu.

\*

Bieda nigdy nie przychodzi sama. Jak się raz zacznie, to idzie jedna za drugą jak pacierz w różańcu. Wkrótce po stracie jałoszki zdarzyło się Jaśkowi nowe, gorsze sto razy nieszczęście, zakochał się biedaczysko. Jeszcze, że się zakochał, może by to i nie było tak źle bardzo, boć powiadają, że to nawet czasem na dobre bywa; ale licho go skusiło zakochać się w Małgoli, córce młynarzowej z łomżyńskiego przedmieścia.

Taka panna młynarzówna dla ubogiego grajka wiejskiego jest tak w stosunku, jak na przykład jaka hrabianka albo bogata dziedziczka względem niemającego artysty albo literata. Schlebiało jej to, że Jaś, dorodny chłopak i lubiany od tylu dziewczek, był jej unizonym służką, nawet nie szczydziła mu czułych spojrzeń i uś-



miechów; ale Jaś, nie w ciemną bity, widział dobrze, że to wszystko kobieca obłuda, żeby go sto razy oddała za pierwszego lepszego wierzycię z miasta ... Stary Grzegorz, gajowy, stryj jego, widząc, jak srodze się miłością swą martwił, mówił doń nieraz:

- Ej, Jasiu, Jasiu! niechaj ty młynarzówny! Co ci za lichy w łeb wlało? Czy to nie masz tylu ślicznych dziewczynek, co za tobą przepadają, żeby się tamtej wpraszać? A gdyby cię nawet i kochała, gdybyś się z nią nawet ożenił, choćby ci też i najlepszą była żoną, to wierz staremu - kością w gardle stanąłby ci tatuś i mamusia, nadęci bracia i siostry, bo to wszystko to takie głupie, że by się miało za coś lepszego od ciebie. Daj jej pokój, mówię tobie, ot, wiesz co, wyswatam ci Wojciechową Jagnę albo Kaśkę po Jędrzeju?...

Ale zakochanemu prawić, ażeby dał pokój, to tak, jakbyś choremu chciał odradzić, żeby nie miewał gorączki. Jaś wiedział tylko jedno: że bez Małgoli żyć nie może, a co dalej będzie, nie myślał. Od kłopotu i zmartwienia zaczął wreszcie chudnąć i blednąć.

"Oho - pomyślał sobie - źle! Jak wychudnę i zblednięję, będzie jeszcze trudniej z dziewczyną. Cóż ja, nieszczęsny, mam począć? Ha! dziej się wola boża! Pójdę na poradę do Bony, czy mi co nie pomoże".

I w rzeczy Bona znalazła mu radę (bo ponoć za życia swego nieraz tego sama próbowała).

- Chcesz, żeby cię twoja dziewczka kochała? Sposób łatwy na to - rzekła - złap żywego nietoperza, włóż go w nowy garnek i obwiąż rzeszociskiem, a potem o północy zagrzeb w mrowisku. Tylko, pamiętaj, odchodząc nie oglądaj się, boby ci się źle nadarzyć mogło. Nazajutrz idź do mrowiska, a znajdziesz w garnku kościane widelki i grabki; którą dziewczynę zechcesz, żeby cię kochała, przyciągnij ją skrycie ku sobie grabkami, a nie będzie mogła żyć bez ciebie, która ci zaś niemiła, a wdzięczy się k' tobie, odepchnij ją jeno widelkami, to będziesz miał spokój od niej.

Uradowany Jaś złotą radą odszedł, po tysiąc błogosławiąc jej razy. W kilka dni złapawszy nietoperza, uczynił wedle jej nauki, a w niedługi czas stało się, że wszystkie dziewczki, co za nim kiedyś szalały, teraz ani spojrzwały na Jasia; Małgorzata zaś młynarzówna na śmierć się w nim zakochała.

Ale tu jeszcze nie był koniec jego kłopotów. Kiedy przyszło do oświadczeń, rodzice dziewczyny rozeźmieli się mu w żywe oczy, że taki gołota chce posażnej ich córki, a choć kochająca Małgosia płakała i rozbijała się prosząc u nóg ich, stary młynarz, jak kamień twardy, zaklął się, że jeśli ją wydał kiedy za chłopca, to chyba tylko za gospodarza albo gospodarskiego jedynaka. Cóż mógł biedny Jaś poradzić? Musiał znosić cierpliwie wymówki stryjowe, że go na próżno w swaty na hańbę wyprawili; urągawisko chłopaków i dziewczynek, że chciał leżeć wyżej niż podrósł, a co najgorsze patrzeć na łyż i smutek swojej Małgoli. Gdy kilka tygodni tak przeszło, a nie było nadziei, żeby młynarz dał się zmiękczyć, Jasiak wspomniawszy sobie skarby niezmiernie pod zamkową górą, postanowił raz jeszcze udać się o pomoc obiecaną do Bony.

Podług zwyczaju Bona przyjęła Jasia łaskawie, pytając, czego by potrzebował.

- O wielmożna królowo! - począł Jaś kłaniając się do ziemi - a dyć to jeszcze nie koniec utrapieniu memu!... Prawdać, że Małgola mnie kocha, choćby w ogień za mną wlecieć, ale cóż, kiedy jej ojcowie wyśmieli się jeno ze zalotów moich, a młynarz zaklął się, że nie wyda jej inak, jak za gospodarza. Cóż ja, biedny sierota, mam począć? Uzał się mnie ty, jasna pani! a do końca życia naszego będziemy oboje co dzień prosić o pokój wieczny dla ciebie!...

- Z duszy serca, miły Janku, jakom przyrzekła, chętnie ci pomogę - odpowiedziała Bona. - Mów, jak wiele ci potrzeba, ale pamiętaj, mów prawdę, nie żądaj więcej nad słuszną potrzebę, bo łakomstwo ciężki grzech i nie zostaje bez kary.

- A niech mnie Bóg ciężko skarze, jeśli choć o półgroszek za wiele powiem! Oto właśnie o granicę jeno od nas jest na sprzedaży gospodarstwo po kołodziejcu Jakubie, co w łońskie lato utonął, za okrągłe czterysta talarów. Gospodarstwo jak z płatka wywinął, wszystkie porządeczki i bydełko śliczne: żebym je tylko mógł kupić, młynarz sam by mi prosił z Małgola.

- Idźże, weź sobie z lochu te czterysta talarów, ale nie zapominaj, com cię ostrzegę: nie tykaj nic ani na włos więcej, bobyś to drogo przepłacił.

Tą razą już bez takiej trwogi wszedł Jaś do piwnicy, gdzie stały skarby zakłete, i odliczył swoje czterysta bitych. Odchodząc z nimi obejrzał się ciekawie dookoła: mój Boże! co tu śliczności! nie na jedno wzięła go ochota, ale przecież przemógł siebie i już był u samych drzwi korytarzowych, gdy wtem potknął się o coś na drodze.

Przekłete biesy, co skarbów tych pilnowały, uradziły się na Jasiową zgubę - i patrzcie, wiedziały, psie wiary, czym skusić Mazura..!

Schylwszy się grajek zobaczył parę nowiusieńkich butów, z zawijanymi cholewkami, wysmarowanych słoniną, że aż się świeciły, z całowymi u obcasów podkówkami. Czego nie mogło srebro i złoto, tego dokażą buty. Jaś utakomiony, począł się namyślać, czy je wziąć, czy lepiej nie brać... Popatrzył troskliwie po wszystkich kątach, czy gdzie nie siedzi lichy zaczajone, ale nic widać nie było.

"Ej - pomyślał sobie - tylko aby przymierzę, czyby mi też były wraz"... - położywszy miech z talarami na ziemi, zrzucił swoje zszarzałe chodaki, a nazwał nowe buty na nogi.

Wtem na kościele w mieście poczęła bić dwunasta godzina i Bona wbiegła do podziemia.

- Śpiesz! Uchodź! - zawołała- za chwilę zamknie się góra!

A wystraszony Jaś, o wszystkim zapomniawszy, podbiegł wydostać się na świat żywy.

- Szczęśliwej drogi w nowych butach - zahuczał za nim w głębi głos okropny, zmieszany z piekielnym śmiechem, od którego aż cała zatrzęsła się góra. Jasiowi włosy na głowie powstały, aż wtem poczuł nagle, że go w nogi pali, jakby je miał włożone w płonąącym zarzewiu... Przerażony, chciał zrzucić diabelskie buty, ale

rozpalona smoła tak do ciała przylgnęła, że ich oderwać nie było rady... Rycząc i jęcząc od bólu padł nieszczęśliwy grajek na ziemię, wijąc się jak wąż wśród piekielnych męczarni.

Z rankiem nazajutrz ludzie przechodzący w pole znaleźli Jaśka-Grajka omdłego przy zamkowej górze. Z przestraczem zobaczyli, że obie nogi jego po kolana na węgiel były spalone i rozsypały się całkiem, kiedy go z ziemi podnosili. Zanieśli biedaka do Łomży do szpitala, gdzie go doktorzy ocucili i pomału do zdrowia przyprowadzili. Ale na całe życie zostawszy kaleką, musiał potem, czołgając się na czworakach od wsi do wsi, zebrać kawałka chleba śpiewając przy swoich skrzypcach pode drzwiami u ludzi, nieszczęśliwa zaś Małgosia od żalu i zgryzoty wrychle Bogu ducha oddała.

## Niezwykła historia o białym rycerzu z Małego Płocka

Chyba nie ma w Polsce człowieka, i to od pierwszoklasisty poczynając, a na siwobrodym staruszku kończąc, który nie słyszałby czegoś o Płocku, nadwiślanym porcie, mieście wielkiej chemii, z olbrzymimi zakładami rafineryjnymi i petrochemicznymi, dawnej stolicy Mazowsza, niegdysiejszej siedziby mazowieckich książąt.

Jednak z pewnością niewielu jest wśród nas takich, którzy wiedzieliby cokolwiek o innym Płocku, o Małym Płocku, czyli stareńkiej wiosce kurpiowskiej, położonej przy trakcie wiodącym z Łomży do Kolna.

Co wspólnego może mieć mazowiecki przemysłowy Płock z chłopskim Małym Płockiem na Kurpiowszczyźnie? Poza samą nazwą, oczywiście. Przede wszystkim to, że niegdyś zarówno Płock jak i Mały Płock były warowniami. Tylko że Płock był silnym grodem obronnym, zaś Mały Płock zaledwie gródkiem warownym, punktem obronnym, niewielkim rozmiarami, za to stynącym na całą puszcze z wielkiego męstwa swej załogi.

W czasach, kiedy Mazowsze nękane było przez wojenne wyprawy, Jadźwingów, Litwinów, a zwłaszcza podstępnych i okrutnych Krzyżaków, książę mazowiecki wezwał na swój dwór w Płocku rycerza Pomścibora i rozkazał:

- Wybierz najdzielniejszych z wojów, Pomściborze, i ruszaj wraz z nimi w głąb puszczy, ku granicy dzielącej nasze księstwo od ziem pogańskich Prusów i arcyłotrowskich Krzyżaków. Wzdłuż granicy z dokuczliwym sąsiadem umyśliłem sobie wznieść łańcuch warowni strzegących spokojnych wiosek przed najazdem wroga. Jednym z naczelników obronnego gródka ciebie wyznaczam, Pomściborze. Warownię wzniesiesz z ziemi i dębowych pali gdzieś w okolicy rzeki, którą puszczaczy nazywają Pisą. Bacz jeno, by miejsca tego można było bronić nie tylko orężnie. Niechaj dostępu do twojego gniazda wzbraniają również dzikie zarośla, woda albo zdradliwe trzęsawiska. Wiem, że niełatwe miesiące i lata przed tobą, Pomściborze, lecz pamiętaj, ufam ci jako własnemu synowi.

Rycerz pochylił głowę z szacunkiem. Milczał dłuższą chwilę, po czym oświadczył:

- Znam w borach doskonale miejsce godzące się na warowny gródek. Aż za Pisą płynie Skroda, zaś u jej dopływu zwanego przez ludzi puszczy Cetną, w niewielkim suchym zakolu chronionym przez bagna da się usypać wały ziemne i wzmocnić je ponadto wysokim ostrokołem, którego nie ugryzie ani grzeszny diabeł, ani grzeszny Krzyżak.

Książę uśmiechnął się.

- Niechaj będzie, jak postanowiłeś, Pomściborze. Stawiaj warownię nad Skrodą. Już przy wyjściu z komnaty rycerz zatrzymał się na moment i powiedział:

- Mam jeszcze dwa pytania, książę. Pytania, które zarazem są i moimi prośbami.

- Mów śmiało. Słucham.

- Czy pozwolisz mi, książę, poza drużyną wiernych wojów i garścią czeladzi, zabrać do granicznej warowni także i małżonkę? I czy zgodzisz się, abym na cześć książęcego Płocka nazwał mój gródek Małym Płockiem?

- Zgoda i na jedno, i na drugie, Pomściborze. Miejsce żony winno być przy mężu - książę skinął dłonią. - A teraz nie zwlekaj, szykuj się do drogi. Kupcy wędrujący od Krzyżaków dostarczyli nam niewesołych wieści. Pora śpieszyć się z gotowaniem obrony.

Trzy dni później bramy Płocka opuścił skromny orszak. Na czele drużyny wojowników podążał rycerz w białej zbroi, dosiadający śnieżnobiałego rumaka. Na końcu gromadki toczyły się cztery wozy ciągnięte przez woły, a wyładowane bronią, najpotrzebniejszym domowym sprzętem, toporami do zwalania drzew oraz rydlami do sypania wałów.

Natychmiast po przybyciu na miejsce zabrano się do roboty. Dzielny Pomścibor dawał przykład innym. Od rana do zmierzchu on, jego wojowie i czeladź w pocie czoła układali kamienie i przesyrywali ziemię rydlami. Z pomocą pracującym pośpieszyli mieszkańcy borowej wioski leżącej w pobliżu. Kilkunastu puszczaków, kobiet i mężczyzn, z własnej ochoty dopomagało rycerskiej drużynie.

Wkrótce usypano wysoki szaniec, na którym ustawiono solidną dębową palisadę. Wokół ziemnego wału wykopano fosę z wodą doprowadzoną z rzeki. Wewnątrz wzniesiono cztery niewielkie, lecz masywne budynki. Jeden dla Pomścibora i jego najbliższych oraz jako zbrojownię i lamus drugi dla rycerstwa, trzeci i czwarty zaś dla czeladzi. Pośrodku placu wydrążono głęboką studnię na wypadek, gdyby wróg przez dłuższy czas zamierzał trzymać gródek w oblężeniu. Wjazd zabezpieczono rozbieranym mostkiem i bramą z dębowych pali, wzmocnioną żelaznymi sztabami przezornie przywiezionymi z Płocka.

Niezbyt wiele wody upłynęło i w Cetnie, i w Skrodzie, gdy o białym rycerzu i jego wiernej drużynie usłyszano w nadgranicznych borach.

Dzielny rycerz na śnieżnobiałym rumaku zawsze pojawiał się tam, gdzie był najbardziej potrzebny. A wówczas biada zachłannym Krzyżakom, pogańskim Prusakom, Jadzwingom czy Litwinom, którzy chcieli grabić spokojne leśne osady.

Pomścibor wobec wroga był jak orzeł drący wilki na strzępy. Albo jak sęp oczyszczający księżką Zagajnicę z cuchnącej padliny.

Wiele zastępów krzyżackich do tej pory bezkarnie wyprawiających się ze Szczytna na mazowiecką stronę z pustymi wozami po łupy, nagle poczęło ginąć bez śladu w borach. Tylko czasami pokiereszowane niedobitki pojawiały się na dziedzińcu Szczytnowskiego Zamczyska z przerażającymi opowieściami o białym rycerzu wyłaniającym się spod ziemi, wyłażącym z bagien lub spadającym z obłoków z mieczem większym od największego z puszczańskich dębów.

- Biały rycerz na białym wierzchowcu silniejszym od dziesięciu żubrów? Biały rycerz fruujący ponad lasami i trzęsawiskami? Ejże.

Komtur krzyżacki w smoki latające z mieczami w powietrzu nie wierzył. Ze słów zbiegów, a także z donosów szpiegów wysyłanych w przebraniu do mazowieckiej Zagajnicy, domyślił się prawdy. A że duszę miał niczym jadowita żmija, uknuł plan zemsty podstępnej i okrutnej, jak na prawdziwego Krzyżaka przystało.

Pewnego popołudnia wezwał starszyzną zakonną na radę do swojej komnaty. Kiedy wszyscy zasiedli na ławach wokół biesiadnego stołu, rzekł:

- Od roku pozwalamy Pomściborowi, wojowi mazowieckiego księcia, aby napadał i grabił nasze spokojne oddziały, niosące dziakiemu ludowi wiarę i boże słowo. Pora z tym skończyć. Wymyśliłem wyśmienity sposób na Pomścibora. Porwiemy mu żonę, którą ponoć miłuje nade wszystko. Kiedy białogłowa ta znajdzie się w naszych lochach pod zamkową wieżą, będziemy lotra mieć w garści. Zobaczycie, z okrutnego wilka przemienimy go w dobrze ułożonego kundla jedzącego z pańskiej ręki. Tobie, bracie mój - komtur wskazał na Zygfrieda siedzącego naprzeciwko - powierzam dowództwo nad tajemną wyprawą. Moje szpiegi co i raz donoszą, że ową białogłową można łącznie pochwycić w sosnowym lesie po tamtej stronie Skrody, dokąd z młódkami i kilkoma zbrojnymi pachółkami często wychodzi na grzyby. Świadców wyrznicie na miejscu, zagrzebiecie pod mchem i zatrzecie wszelkie ślady. Jenó ją samą, całą i zdrową, dostawicie w sekrecie do Szczytna. No a wówczas zatańczymy sobie z przeklętym Pomściborem nie gorzej niżli Cygan z tresowanym niedźwiedziem.

Komtur ze Szczytna szpiegom swoim darmo nie płacił. W borach nad Skrodą wszystko odbyło się dokładnie tak, jak przepowiedzieli komturowi przebierańcy. Zygfried i jego ludzie wytropili gromadkę zbierającą grzyby i napadli ją znienacka. Pachółków osłaniających mieczami swoją panią wymordowali do ostatniego, ją samą zaś związali rzemieniami, zawinęli w wilcze skóry i z owym niezwyčajnym łupem pośpieszyli w kierunku granicy.

Jednakże nie uszli daleko. W ciemnej Dąbrowie tuż za Pisą nieoczekiwanie dostali się w zasadzkę. Kilkunastu śmiałków ze strasliwym wyciem spadło na nich z konarów. I rozbiło w pył zbójecką bandę. Zabrało broń i uwolniło nieszczęsną brankę. Łotrów krzyżackich pozostawiło wilkom na uciechę. Tym razem żywa noga nie uszła z leśnej pułapki.

Komtur w Szczytnie czekał cierpliwie miesiąc, czekał dwa miesiące, czekał trzy,

lecz powrotu brata Zygryda i jego drużyny się nie doczekał. Pełen najgorszych obaw wysłał więc na mazowiecką stronę trzech najsprytniejszych swoich szpiegów, ażeby spróbować wywęszyć, co też mogło przytrafić się niezwykłemu dotąd i przebiegłemu jak lis krzyżowemu rycerzowi.

Po czterdziestu dniach do Szczytna powrócił szpieg przebrany za grajka wędrującego od dworu do dworu, od wesela do wesela. Zaledwie przybysz stanął przed komturem, oświadczył z ponurą miną:

- Panie mój, spotkałem w mazowieckich borach dwóch puszczaków wybierających miód z pszczelich dziupli. Leśni ludzie powiadali, że czarownice z bagien wzięły sobie naszych rycerzy za mężów. Pokochały ich ponoć wielką miłością i ani na krok nie puszczają ich teraz od siebie. Moczarowe nocznice i wodne strzygi najwidoczniej nasypały rycerzom do wina diabelskiego ziela. Skoro biedacy zapomnieli o bożym świecie i nie myślą o powrocie między ludzi. Nie ujrzymy ich już nigdy w Szczytnie, panie mój.

- Głupiś jako ciżma z lewej nogi - zirytował się komtur czerwieniąc gwałtownie na gębie. - Gdybyś, baranie, miał choć odrobinę oleju pod czerepem, wiedziałbyś, iż moczarowe wiedźmy i diabelskie strzygi nie mają nijakiego dostępu do rycerzy z zakonu spod znaku Najświętszej Marii Panny.

Po dalszych dwóch tygodniach do wrót krzyżackiego zamku załomotał szpieg przebrany w żydowski chałat i takąż myckę. Na widok komtura sfałszowany Żyd padł na brzuch i bijąc czołem o kamienną posadzkę zawołał:

- Panie mój, w przydrożnej karczmie nad Pisą zaprzyjaźniłem się z tamtejszymi smolarzami, bardziej podobnymi do diabłów niżli do ludzi! Oni to przy piwie wyjawili mi straszliwą tajemnicę. Naszą drużynę porwały najprawdziwsze czarty. Krzyżaccy rycerze służą podobno teraz w piekle za Belzebubowych pomocników. Smołę warzą, ognia strzegą, by nie wygasł pod kociolkami, w których smażą się dusze najbardziej zatwardziałyich grzeszników.

- Głupiś jak ciżma z prawej nogi - zirytował się znowu komtur i jeszcze bardziej poczerwieniał na gębie. - Mój brat nie strachał się nikogo ani na tym, ani na tamtym świecie. Nie ma takiego diabła w Lucyperowej służbie, z którym by sobie nie poradził.

Minęły kolejne dwa tygodnie i nad fosą zamkową pojawił się trzeci z komturów szpiegów, rudzielec przebrany w sukienkę wędrownego klechy. Ten nie rzekł nic, jeno z zawiniątka wydobył i położył na ławie przed dowódcą zamczyńska czaszkę oczyszczoną dokumentnie przez leśne mrówki oraz srebrną zapinkę z trzema perłami, jaką nosił brat komturowy pod brodą. Na posadzkę zaś cisnął pierzastą strzałę z łuku.

Dopiero wtenczas ukląkł na jedno kolano i otworzył usta:

- Od tej strzały zginął twój, niezwykłony Zygryd, jeden z najwaleczniejszych rycerzy naszego świętego zakonu. A strzała ta, co z jej kształtu i grotu jasno wynika, zrobiona została w mazowieckim warsztacie, w Łomży, w Ciechanowie albo Płocku. Z ręki księżęcego łucznika zginął brat twój, panie wielki. Na leśnej

polanie pośród moczarowych kęp z walecznej drużyny zakonnych braci pozostały jedynie gołe kości i kupa pogieętego żelastwa.

Komtur wrzasnął głosem tak straszliwym, że nie tylko rycerze i knechci, ale również i myszy w zamkowych norach potruchlały z przerażenia.

- Domyślam się, kto wciągnął walecznych rycerzy w podstępą zasadzkę! To ten przeklęty Pomścibor z Małego Płocka! Woje Pomścibora nigdy nie stają do otwartej walki z nami, lecz skradają się wśród borów i kásają znienacka niczym wściekłe wilki. Klnę się na głowę wielkiego mistrza zakonu, iż nie zaznam spokoju, dopóki nie zetnę z powierzchni ziemi tego wilczego legowiska. Ej, skrybo, gotuj pismo do sąsiedniej komturii. Niechaj bracia zakonnicy przybywają mi natychmiast z pomocą. Pora nieść krwawą zemstę Pomściborowi!

Jeszcze tego samego dnia traktami wiodącymi do Nidzicy i do Pisu pogalopowali komturowi posłańcy.

Wkrótce potem nadgraniczna puszcza wchłonęła potężny oddział krzyżackich jeźdźców zakutych w stalowe zbroje, a także trzy hufce pieszych knechtów dźwigających tarcze, topory i miecze. Po przeprawieniu się mostem przez Wałpuszę, Krzyżacy przecięli brodem Rozogę, Pisę oraz Skrodę i lasami podeszli pod Mały Płock.

Długie dwa tygodnie wojowie Pomścibora odpierali ataki Krzyżaków. I pewnie doczekaliby się odsiecz z Łomży, z Ciechanowa, albo nawet i z samego Płocka, gdyby nie niespodziewana zdrada.

Którejś nocy jeden z czeladzi - ryży i piegowaty, pewnikiem z niemieckiego ojca - podał wartownikom zatrute piwo, sam zaś odsunął zasuwę głównej bramy. Krzyżacy bez przeszkód wtargnęli do środka i wymordowali dzielną załogę.

Jedynie Pomścibór zdążył wskoczyć na śnieżnobiałego rumaka, który potężnym susem ponad ostrokołem wyniósł swego pana na niedostępne moczary. Zanim knechci naciągnęli łuki, biały rycerz zniknął w oparach bagiennych. Do Krzyżackich uszu dotarł jeno jego krzyk:

- Wkrótce pomścczę moich braci! W wielkiej bitwie poniesiecie straszliwą klęskę, z której zakon już się nie podźwignie. A okopu tego bronić będę przed wrogiem jeszcze przez całe stulecia.

Po odejściu Krzyżaków puszczacy pochowali dzielnych obrońców gródka na cmentarzyku przylegającym do fosy. Czekali też na powrót białego rycerza. Ale się nie doczekali.

Ziemne umocnienia Małego Płocka przetrwały z tamtych czasów aż do dzisiaj. Przetrwały również wyraźne ślady fosy broniącej niegdyś dostępu do gródka. Wewnątrz, pośrodku placu widać także rumowisko kamieni. Najstarsi mieszkańcy wioski pamiętają, że kiedyś była tam studnia, do której jeszcze jako dzieci zabawiając się wrzucali kamienie.

Sędziwi mieszkańcy wspominają też dziedzica, który wbrew przestrogom małopłocczan kazał zaorać porosły zielskiem teren byłego cmentarzyka, ażeby posadzić tam kartofle czy posiać grykę. Ponieważ nikt z miejscowych nie chciał najać się

do owej roboty, trzeba było oracza sprowadzić specjalnie w tym celu aż z Łomży.

Kiedy chłop ujrzał, iż ziemia za pługiem wylania się czerwona i krwawa, porzucił kobyłkę i wrzeszcząc z przerażenia uciekł, dokąd go oczy poniosły. Od tamtej pory nikt więcej nie usiłuje już ani zaorywać cmentarzyka, ani nawet kosić na nim trawy.

Wszystko, co tu opowiedzieliśmy, można byłoby zaliczyć do bajań ludowych Kurpiowszczyzny, gdyby nie jeszcze jeden fakt.

Oto często o północy w świetle księżyca pojawia się na okopie dawnego gródka biały rycerz na śnieżnobiałym wierzchowcu. To wszakże nie kto inny, jak sam Pomścibor dotrzymujący słowa danego swoim druhom przed wiekami.

Tak przynajmniej zapewniają nas świadkowie, siwobrodzi mieszkańcy Małego Płocka. A ludziom doświadczonym i o siwych włosach wierzyć przecież trzeba.

## O Górze Zamkowej

Ćwierć mili może od Łomży idąc w górę rzeki, tuż nad brzegiem, pośród innych nadrzecznych wzgórz, znajduje się pagórek oddzielnie stojący, niezbyt wielki, Zamkową Górą zwany; ślady murów kamiennych w ziemi tkwiące stwierdzają tę nazwę.

Podobnie jak niemal o wszystkich starych zamczyskach i zgliszczach ich w Mazowszu, tak i o tu stojącym niegdyś, powiada się, że był królowej Bony własnością. O końcu zaś jego następne są powieści:

Władząca tu niegdyś księżna czy królowa (podług niektórych właśnie Bona), miała jedynego syna, który bez jej woli poślubił sobie ubogą sierotę. Rozgniewana tym, matka synową straciła, syna zaś, przywiązawszy go na dzikim koniu, z zamku wygnać kazała. Koń przepłynąwszy Narew tułał się długo z młodym księciem, aż go zaniósł do jednej wsi wśród lasów leżącej. Ludzie schwyciwszy konia zdjęli z niego panicza poranionego, a opatrzywszy głodnego marchwią, jako najlepszym jadłem, jakie mieli, nakarmili.

Książę, przyszedłszy do siebie, zebrał ludzi z tej i z pobliskich wsi, uzbrojonych, jako mogli, i szedł z nimi zdobywać zamek ojcowski. Zdobył go i zburzył, a po ucieczce matki sam panem zostawszy przyzwał ku sobie mieszkańców onej wioski, co go od śmierci wybawili.

- Co to była za potrawa, którąście mnie posilali? - spytał, jako pan taki, oczywiście nie wiedząc nic o tak prostej stawie.

- Marchew! - odpowiedzieli chłopci.

- Odtąd wieś ta cała do was należy, nazywać się będzie Marchwią, wy zaś wszyscy szlachtą Marchwińskimi - zawyrokował książę.

Wieś ta ma dotąd istnieć za Narwią jako osada drobnej szlachty tego nazwiska.

Druga wersja od powyższej różni się w końcu; podług niej bowiem oblężona w zamku matka, nie chcąc się synowi poddać, zaklęła się i wraz z zamkiem w ziemię przepadła.



To ostatnie zakończenie lepiej niż pierwsze przystaje do dalszego o Zamkowej Górze szczegółu, że w niej niezmiernie skarby pod strażą złych duchów kryć się mają. Można by je z zaklęcia uwolnić i wziąć, gdyby księża z fary łomżyńskiej, w uroczystej procesji przyszedłszy, odprawili mszę na górze; warunek jednak, że tak wybrać się z kościoła trzeba, że za niczym, co do nabożeństwa należy, nie wracać.

Dwukroć przedsięwzięło duchowieństwo tameczne spełnić to zadanie, ale za każdym razem jakiejś drobnostki zapomniano. Raz trzeci wreszcie wybrano się już we wszelkiej zupełności i procesja poszła już pod samą górę. Wtem nie wiedzieć skąd z góry pokazała się świnia w ornat ubrana i, koziołkując przez łeb, na dół spadała. Wszyscy obecni i nawet celebrujący w śmiech. Wtedy z głębi góry dał się słyszeć głos:

- Takie to wasze nabożeństwo, że jedna świnia je przerwała?... I wy chcecie z diabłem wojować?

Na to przerażeni i istotnie upokorzeni księża wrócili z niczym do fary i nikt już więcej o dobyciu skarbów nie myślał.

Między gminem tutejszym wreszcie utrzymuje się mniemanie (w wielu miejscach tak u nas, jak i za granicami polskimi), że lochy w Górze Zamkowej zawarte łączą się pod ziemią z kościołem farnym w Łomży, budową dla starożytności i składu swego uderzają wyobraźnię.

## O jeleniu, który wskoczył do łomżyńskiego herbu

Stary Sieciej wyszedł przed budę bartniczą, żeby dorzucić nieco drewna do ognia, pykającego w jamie wygrzebanej w piasku. W samą porę. Albowiem płomyki zaczęły szybko przygasać, zaś od pobliskich rozlewisk i wądołów pozostawionych jeszcze wiosną przez kapryśną Narew nadciągała wieczorna wilgoć, a wraz z nią i ziąb przenikający do szpiku kości.

Zaledwie bartnik zawrócił w stronę szałasów, jego rękawów uczepliło się dwóch suchawatych wyrostków. Byli to Cieszko i Zdieszko, jedyni synowie Siecieja, urwipolcie i psotnicy dobrze znani w okolicznych borach. Bliźniacy, jak przystało na bartnikowych synów, podobni byli do siebie niczym dwie kapki lipcowego miodu.

Przymilając się i zagadując nakłonili chłopcy rodzica, aby przysiadł razem z nimi na chwilę w cieple. Przy ognisku coraz weselej trzaskającym, co i raz syjącym iskrami z jałowcowego chrustu.

- Tatku, jakże to było w onej straszliwej bitwie pod Grunwaldem? - pierwszy zagadnął ojca Cieszko. - Do północy daleko, do rana jeszcze dalej, wyspać się przeto zdążymy. Tatku kochany, opowiedzcie nam przed snem, jako żęście prali zbójcekich Krzyżaków, o których pleban w Łomży powiada, że są z piekła rodem.

- Jako prałem krzyżackie nasienie? Zwyczajnie, synkowie - Sieciej uśmiechnął się do wojennych wspomnień sprzed ośmiu lat, po czym machnął niecierpliwie ręką, jak gdyby chciał opędzić się przed atakiem natrętnego komara. - Lepiej wyspalibyście się przed jutrzejszymi łowami na grubego zwierza. Bo o czym

tu gadać? Kazali iść, to poszedłem. Kazali bić juchę Krzyżaka, to biłem. Zwyczajnie.

- Tatu, wuj Jarocho powiadali niedawno, iżecie pod Grunwaldową osadą wzięli w plen jakowegoś ważnego komtura. Ponoć samego głównego wodza z zamku w Nidzicy. Okrutnego zbója z wielgachnym mieczem, tarczą herbową i z ogromnym czubem pawich piór na hełmie. Wielkiego i straszego niby Herod. Powiadajcie nam, tatu kochany, jako żeście przemogli w boju onego Heroda? - czym prędzej poparł brata Zdieszko.

- A co go miałem nie przemóc, skoro zbój sam wlał mi pod rękę? - Sieciej rozeźmiał się cichutko i dorzucił: - A w rękę akurat dzierżyłem maczugę. Miał pecha plugawiec.

- Lecz jakże to było? - zawołali chłopcy jednym głosem. - Powiadajcie, tatu.

- Jak było? Mówilem już, synkowie. Zwyczajnie. Jako w każdej bitwie. Najprzód kum Jarocho obalił zbójowi na ziemię konisko, waląc je drągiem po gołeniacz, a kiedy Krzyżak zsunął się z siodła i mieczem zamierował zadźgać kuma niczym wieprzka, skoczyłem sąsiadowi z pomocą. I tak gruchnąłem krzyżackie nasienie z tyłu przed łeb maczugą, aż hełm rozleciał mu się kiejby popękany gliniany garnek. Nie zdzierzył solidnego puszczackiego ciosu. Zwyczajnie.

- I co było później? - zawołali znowu bliźniacy. - Powiadajcie, tatu kochany.

Sieciej wzruszył ramionami.

- Później już nic nie było. Okazało się jeno, że krzyżacki łeb twardszy jest od żelaza. Komtur wyżył. Pognano go potem w niewolę do zamkowych lochów w Płocku albo i w Warszawie. Zaś kumowi Jarochowi i mnie król Jagiełło złożył podziękowanie za wielkie staranie pod Grunwaldem. No i za te kilkanaście łbów, któreśmy roztrzaskali w boju, kiedy Litwa zaczęła się cofać ku moczarom przed knechtami i plugawym rycerstwem zakonu.

- Podziękował? Sam król? - bliźniacy byli wniebowzięci. - A jakimi słowy, tatu?

- Cóżecie się tak mnie dziś uczepili, jako rzep suczego ogona? Przecie powiadam, że król mi dziękował. Nie kto inny, ale Władysław Jagiełło, pan nasz najmiłościwszy. A jako dziękował? Gadałem już, synkowie. Zwyczajnie.

- Tatu kochany, a jakże król miłościwy wygląda? Wielki jest? I pewnie cały w złotej zbroi? A koronę to chyba ma z samiuśkich brylantów?

Bartnik popatrzył uważnie na swoich chłopców i zrazu nie odpowiedział. Potem uśmiechnął się tajemniczo i wyznał:

- Poczekajcie do jutra, leśne baki. O świcie król wraz z orszakiem przybędzie z Łomży do nas na polowanie. Ślubowałem panu wójtowi, że poprowadzę łowiecką drużynę w Diabelską Dąbrowę, tam gdzie i o tęgiego tura łatwo, i o mocarnego żubra nietrudno. Będziecie mieć szczęście, obaczycie monarchę. A może i świeżutkim miodem poczęstujecie majestat, jako przystało na prawdziwych gospodarzy tego boru.

- Oj, tatu kochany!

Uszczęśliwieni chłopcy rzucili się na wyścigi ściskać i całować ojca.

Sieciej zaburczał udając powagę i otrząsnął się niczym stary niedźwiedź, a następnie dźwignął się na nogi i wskazał na bartniczą budę.

- Pora spać, leśne bąki - rzekł stanowczo. - Rano trza wstawać jeszcze przed dzieciętami. Jeśli chcecie pójść ze mną na umówione miejsce, a później wędrować z królewskimi ludźmi po naszej Zagajnicy, musicie wypocząć i sił nabrać przed jutrzejszymi trudami. Nie zapomnijcie, synkowie, przed snem przepatrzyć chodaki. Wszakże wy iść będziecie pieszo, podczas gdy orszak królewski podąży na koniach, zacnych i wypoczętych. Sprawdzonych i w boju, i w pościgu za wrogiem.

- Ależ, tatku, co wy mówicie? Niby nie wiecie, że puszczaczy nawykli do biegania po lesie? Ze zdrowym śmiałkiem w borowej guszy żaden rumak nie wygra gonitwy. A my, choć jeszcze młodzi, prawdziwiśmy puszczaczy. Ze zdrowiutkim sercem i zdrowymi nogami.

Bartnik Sieciej odgarnął znad czoła pobielone przez czas kosmyki.

- Ech, uparciście obydwaj niby kozioł smolarza Sagniewa spod Kolna - westchnął głośno. - Nie przegadam was, leśne bąki, i dlatego rozprawiać z wami dłużej ani myślę. Kto jutro ze mną zamiaruje pokłonić się do kolan najmiłościwшему królowi, ten niechaj już teraz legnie na wilczych skórach i odpocznie należycie. Kto zaś zaśni rano, ten niech pójdzie sobie nad strugę chwycić chude płotki lub piskorze. Bo ja czekać na śpiocha nie zamierzam.

Nie da się zaprzeczyć, iż ojcowskie argumenty przemówiły do młodzieńczej wyobraźni. Radośnie pohukując bliźniacy momentalnie zniknęli wewnątrz szałas. Zaledwie Sieciej wetknął rzepę w żar i przysypał starannie piaskiem, ażeby upiekła się i utrzymała ciepło do świtania, z budy dobiegło jego uszu chrapanie na dwa głosy.

Nim gwiazdy na niebie pojaśniały na dobre, na polanie u Siedmiu Diabelskich Dębów pojawił się orszak rycerski z pachołkami i wozami zdążającymi z tyłu. Nie zwlekając sprawnie rozbito obozowisko, ustawiono fury ze spyzą, rozpalono ogień i zaczęto czekać na przewodnika.

Długo nie czekano. Po kwadransie z boru wyszedł Sieciej z dwoma wyrostkami. Widząc ludzi gotowych do drogi, kazał bliźniakom stanąć z boku i nie wadzić nikomu, a sam skierował się ku ognisku.

Cieszko i Zdieszko poczęli wypatrywać króla. Wielkiego rycerza w złotej zbroi, w złotej koronie i ze złotym mieczem u boku. Na próżno. Władysława Jagiełły pośród rycerstwa chyba nie było.

Pierwszy nie wytrzymał Zdieszko. Podeszedł bliżej i trącił delikatnie w łokieć jakiegoś starszego z wojów, o obliczu pooranym zmarszczkami i włosie dobrze siwym, a ubranego w zwyczajny kożuszek i futrzaną czapkę.

- Panie rycerzu, nie wiecie, gdzie tu król? - zapytał grzecznie półgłosem. - Pozieramy z bratem, pozieramy, ale jakoś nadaremnie.

- Czyj jesteś, wilczku?

- Obajśmy z Cieszkim synowie bartnika Siecieja. Tego samego, którego dopomógł królowi wygrać pod Grunwaldem okrutną bitwę z krzyżacką gadziną.

Stary rycerz ożywił się. Pewnie także walczył na Grunwaldowym polu, bo zaraz zagadnął:

- A gdzież wasz dzielny ojciec? Ów bartnik Sieciej, co to dopomógł polskiemu monarsze zetrzeć w pył i proch potęgę krzyżowego zakonu?

- Tam pod dębem, panie rycerzu. Gada z onym siwiutkim człkiem w szkarłatnym kołpaku z orlim piórem. Z wielkim panem zapewne, lecz przecież nie z królem.

Nagabnięty spojrział w tamtą stronę i potwierdził:

- Nie inaczej. Ojciec wasz rozprawia z księciem Januszem, panem na Mazowszu.

- Panie rycerzu, zabyliście? - Zdieszko pociągnął rycerza niemocno za rękaw. - Pytałem was o króla, aleście mi nic nie odrzekli. Czyżby nasz pan najmiłościwszy nie przybył na łowy? Czyżby niemoc jakowaś paskudna nie wypuściła go z łoża?

- Dlaczego nie ma króla? - także i Cieszko nie krył rozczarowania. - A tatko powiadali, że król Władysław Jagiełło nade wszystkie pałacowe igrcy i zabawy ceni sobie polowanie na dzikiego zwierza, na futra, żubra albo i niedźwiedzia.

- Król zdrów jest. Wiem to doskonale, wilczku. Wiem również, iż jest tutaj.

Cieszko obrócił się na jednej nodze dookoła.

- Prawdę mówicie, panie rycerzu? - zawołał. - Nie łżecie aby? A dlaczego nie widać go nigdzie?

- Rozpoznałbyś swego monarchę?

- No pewnie.

- Hm, a po czymże to, wilczku?

- Bo wielki jest, panie rycerzu. Największy z królów. I piękny jest jak z kościelnego obrazu. I w zbroi caluńskiej ze szczerego złota. I w koronie z brylantów, pereł i inszych drogocności.

Stary rycerz uśmiechnął się rozbawiony.

W tej samej chwili zbliżył się do niego rycerz w bobrowym kołpaku, ze złotym łańcuchem na szyi. Zeskoczył z konia i pochylił głowę.

- Wasza królewska miłość, gotowiliśmy do drogi - oznajmił. - Kiedy każecie wyruszać?

- Dajcie sygnał, Bożywoju. Już pora.

- To... to wyście, panie rycerzu, są naszym królem? - Zdieszko, gdyby teraz mógł, zapadłby się ze wstydu pod ziemię. Albo skryłby się w borsuczej jamie. Ale że nie mógł, jękając się pytał dalej: - Toście są, panie rycerzu, najmiłościewiej nam panującym Władysławem Jagiełłą? Tym prawdziwym? Nie cyganicie aby?

- Jak śmiesz, kpie, zwracać się w ten sposób do monarchy - woj w bobrowym kołpaku wyciągnął rękę, by pochwycić Zdieszka za kołnierz.

- Poniechajcie go, Bożywoju. On to przecież z nieświadomości - powstrzymał król Władysław rycerza i zwrócił się do chłopca: - Jam jest, wilczku. Rozczarowanyś? Zapamiętaj. Prawdziwa wielkość nie we wroście się kryje. Ani w potędze złota i klejnotów. A o lico podobne do kościelnych malunków trudno, kiedy siedemdziesiąt bez mała roków przygniecie człkowi ramiona.

Już z konia Jagiełło skinął na Zdieszka.

- Dołączaj wraz z Cieszkim do naszej drużyny. Chciałbym popatrzeć, jako w borowej dzicy spisują się Sieciejowe wilczęta.

Władysław Jagiełło w siodle trzymał się znakomicie. Mimo znacznego wieku pędził jak zrosnięty z koniem. Czerstwa cera nabierała rumieńców, zdrowych i świeżych. Pewnie od porannego wiatru, a także i od tego, że król nie pijał ni piwa, ni wina nawet w młodości.

Niewiele czasu upłynęło, gdy Sieciej śpieszący na przedzie podniósł wysoko rękę. Znak, iż przed królewskim orszakiem ciągnęła się Diabelska Dąbrowa. Łowy na grubego zwierza mogły się rozpocząć.

Trudno zliczyć wszystkie dziki i niedźwiedzie, łosie, tury oraz zubry, jakie padły w owych dniach od rycerskich oszczepów. Nie one jednakże przeszły do historii. W kronikach królewskich skrybów zachowały się słowa o jeleniu. O jeleniu niezwykłym, monarszym. O jeleniu, który wskoczył do łomżyńskiego herbu...

Pierwszy tydzień łowów zleciał wszystkim tak szybko, jakby doba myśliwska liczyła zaledwie pół zwyczajnej doby. Przez calutki ten czas szczęście czuwało nad Jaggiełłowym orszakiem. Od zacnych trofeów zwożonych z puszczy na polanę mogło się zakręcić w najtrześniejszej głowie. Co dnia wozy pełne mięsiva i futer odprawiano do Łomży, na dwór myśliwski mazowieckich książąt.

W podłomżyńskich lasach przypominających nieco bory litewskie nad Wilią i Niemnem, a przez to i spędzone w nich lata młodzięncze, Władysław Jagiełło czuł się znakomicie, jak chyba nigdzie poza Litwą. Prawie nie schodził z konia. Dopiero o zmierzchu zasiadał przy ognisku, aby powieczerać i pogawędzić z towarzyszami.

Cieszko i Zdieszko po raz pierwszy w żywocie mogli napatrzeć się i nasłuchać dziwów, o jakich dotąd w borach nawet nie śnili. Przychodziło im to o tyle łatwiej, iż wkrótce stali się ulubieńcami wszystkich. Nie dziwota. Wychowani przez ojca w szacunku do pracy i w życzliwości wobec innych, bliźniacy starali się być użyteczni na każdym kroku. Dopomagali królewskiej wyprawie, jak tylko potrafili. Na lada skinienie służyli rycerzom za przewodników, dla obozowych kucharzy wyciągali ze strug łokciowe jazgorze i okonie tłuste niby wieprzki, zbierali prawdziwki i rydze, a także dziki czosnek oraz aromatyczne zioła na przyprawy do mięsiv, zaś przed nocnym spoczynkiem czyścili z zapąsem broń i bogatą uprząż. No i korzystali z każdej okazji, ażeby posłuchać ciekawych opowieści wielkich rycerzy, ale i wspominków dworzan oraz co znaczniejszych pachołków. Choćby takich jak te oto.

- Nie pierwszy raz towarzyszę najmiłościwшему królowi w łowieckiej przygodzie - pochwalił się Każko, giermek pana Cichosza z Psiej Góry, i sprawdził czubkiem noża płat sarniny zawieszony nad ogniskiem, czy już upieczony. - Monarcha nasz jest nadzwyczajnego zdrowia. Nie imają się go najsrozsze mrozy, nie dokuczliwe mu też upały ani wichry, ani deszcze. Od maleńkości hartowany był w niewygodach. Surowe wychowanie dał mu bowiem jego rodzic Olgierd, wielki książę Litwy, człek niezwykajnie mądry i przezorny, a polityk przy tym, że ho-ho! Mało kto potrafi trzymać Krzyżaka na końcu miecza jako onże właśnie.

- A niby co w tym dziwnego? Książ mądry i wielki to i króla mądrego i wielkiego zrodził, Kaziejku - zaciągnął po swojemu Wigunt, stary Litwin od dziesiątków lat czuwający nad Jagiełłowym orężem.

- O tak, tak. Wielki nasz król. Z każdym rokiem większy - Każko z Psiej Góry przytaknął skwapliwie. - Inny w jego leciech wolałby siedzieć na miękkich skórkach w komnatach wawelskich, z biskupem krakowskim, panem Oleśnickim, albo nawet i z samym prymasem Mikołajem Trąbą w harcaby grać, niżli w niewygodzie na rumaku i z oszczepem w garści ściagać się z brodatym żubrem.

- Wielki król to i wielki myśliwiec, Kaziejku - zauważył znowu Litwin. - A trzecia żona to zawsze już trzecia. Każda żagiew wypala się z czasem.

- Nie równaj królewskiego serca z suchą żagwią, litewski niedźwiedziu - tym razem Każko zaprotestował i naburmuszony dodał: - Powiadają na Wawelu, że po zmarłej Jadwidze, a potem i Annie, Elżbieta jest prawdziwym umiłowaniem Jagiełły. Największym.

- A czy ja mówię, że nie, Kaziejku? - Wigunt uśmiechnął się dobrodusznie i wyciągnął rękę do giermka z Psiej Górki. - Gadałem jeno, że król nasz nadal jeszcze przedkłada łowy nad insze dworskie zabawy.

- A bo też i przyznać trzeba sprawiedliwie, że mimo nienadzwyczajnego wzrostu i niezbyt tęgiej budowy król Jagiełło ramię silne ma jako i sam Zawisza Czarny z Czarnkowa - odezwał się powoli Żelisz. Wszyscy zamilkli i spojrzeli na doświadczonego woja. Wiedzieli, iż Żelisz gęby otwierać darmo nie lubił, lecz gdy już otworzył, to jakby strzałą mierzył do celu. - A i we władaniu bronią mało kto mu dorówna. Onegdaj, widziałem na własne ślepie, król dopędził umykającego тура i w pełnym galopie cisnął weń oszczepem. Trafił, że lepiej nie można. Zwierz dziki zwałił się na ziemię niby rażony piorunem.

- Pan mój, książę Janusz, starszy jest od najmiłoścowszego monarchy o równe dziesięć років - przypomniał druhom Maćko, dworzanin z mazowieckiego zamku, korzystając z chwili ciszy. I zaraz dodał: - Przedstawcie sobie, siedemdziesiąt osiem lat na karku dźwiga, a także całymi dniami nie złazi z siodła i pomyka po lasach.

- Z siodła nie złazi, bo towarzyszy najjaśniejszemu panu. Nie godzi się inaczej. Wszakże bory książęce wokoło i on tutaj gospodarzem choć równocześnie i sługą królewskim - zauważył śpiewnym głosem Litwin. I wnet dorzucił z dobrodusznym uśmiechem: - No, ale z oszczepem za turem czy brodatym żubrem twój pan już się nie wypuszcza? Nie zaprzeczysz, iż prawdę szczerą gadam, Maciejku?

Maćko wzruszył ramionami.

- Wiem jeno - rzekł - że jutro książę Janusz kazał sobie przygotować kuszę, zapas bełtów oraz oszczep wyostrzyć jak należy. Pewnikiem się więc wypuści i za jakowymś grubszym zwierzem.

- Rano się okaże, co książę mazowiecki czyni. A teraz spać pora wszystkim - rozmowę giermków przy ognisku przerwał pan Cichosz z Psiej Góry, który akurat nadszedł i usłyszał ostatnie zdanie. - Przed świtaniem wyprawiamy się za Skrodę i Pisę. Bartnik Sieciej powiadał, że w tamtejszej kniei trzy albo cztery gniazda

niedźwiedzia się kryją. Kiedy król Jagiełło to usłyszał, zaraz zapragnął spotkania z kosmatym. Jutro zatem idziemy na niedźwiedzia.

Sprzeciwiać się słowom pana Cichosza nikt nie śmiał. Zwłaszcza że wołę królewską powtarzały. Zerwano się czym prędzej na nogi, wygaszono starannie ogniska i pospieszono na spoczynek. Kto mógł, krył się w szałasach wystawionych wcześniej, pozostali wyciągali się na ciepłych jelenich, wilczych lub niedźwiedzich skórkach, zwyczajnie pod gwiaździstym niebem. Dla rycerskiego stanu nie była to wszakże pierwszozna. Wkrótce nad obozowiskiem unosiły się jeno resztki dymów i dawały się słyszeć niegłośnie nawoływania straży rozstawionej skrajem lasu.

Przedpołudnie zastało orszak królewski nad Pisą, szeroką w tym miejscu na pół strzałą z kuszy. Zaraz za rzeką wjechało w wysokopienny bór z chojarami sięgającymi nieba. Potem znaleziono się w chaszczach, których ludzka stopa pewnikiem dotychczas nie deptała.

Z niepokojem rozglądano się dookoła. Niejednemu z giermków włos unosił czapkę. Nie, nie kosmatego zwierza się tu obawiano, lecz duchów paskudnych, diabłów leśnych i bagiennych czarownic, mających ulubione siedliska w takiej właśnie dzikiej i ponurej głuszy.

Tymczasem bartnik Sieciej szedł borem niczym imci wójt ulicami Łomży. Nie zmylił drogi ani razu. Wreszcie dał znak, aby pożałono z koni. Na kosmatego najlepiej iść na własnych nogach.

Pierwszego niedźwiedzia osaczono w barłogu. Skoczył ku niemu Jagiełło z oszczepem, powstrzymując gniewnym okrzykiem Cichosza z Psiej Górki i Mszczuja z Dobrołąki, którzy z toporami zamierzali ubezpieczać monarchę z obydwu boków. A kto wie, może nawet chcieli i wyprzedzić go w ataku?

Pozbawiony szans ucieczki zwierz ryknął wściekle i zwrócił się ku królowi. Wyciągnął łapy i już, już sięgał Jagiełłowego kołpaka, gdy raptem nadział się na oszczep. Ostry grot pchnięty pewną ręką wbił się między żebra. Kosmaty runął martwy u stóp króla.

Niedługo potem ubito jeszcze trzy niedźwiedzie. Dwie samki i samca olbrzyma, większego i od konia, i od wołu. Dobry nastrój monarchy udzielił się pozostałym. Cieszono się głośno, podziwiano męstwo Władysława Jagiełły i jego ramię niby wykute z prawdziwej stali. Zapewne radowano by się jeszcze długo, gdyby nagle nie okazało się, że pośród rycerstwa zabrakło Janusza, pana na Mazowszu.

- Gdzie nasz gospodarz? - zaniepokoił się król Władysław. - Nie spotkali go coś niedobrego?

- Gdzież księżę Janusz? - zaczęto wołać na wszystkie strony. - Kto widział mazowieckiego księcia? Hop, hop! Odezwijcie się, mości księżę!

Ponieważ jedyną odpowiedzią na wołanie był pracowity stukot dzieciątów niosący się z góry, czym prędzej rozdzielono się na kilkuosobowe grupy i pośpieszono na poszukiwanie zaginionego dostojnika.

Najwięcej szczęścia miał Zdieszko podążający wraz z panem Mszczujem z Dobrołąki i jego giermkami. Już po kilkudziesięciu krokach usłyszał coś, co nakazało

mu ruszyć biegiem. Wojowie bez słowa sięgnęli po topory i oszczepy i popędzili za chłopcem.

Zdążyli w samą porę.

Na konarze dębu siedział stary książę z nożem przygotowanym do ciosu. Olbrzymi niedźwiedź pomrukując gniewnie i czepiając się wszystkimi czterema łapami usiłował wdrapać się na górę.

Na widok zbrojnych kosmaty zeskoczył na ziemię i z wrzaskiem bezradnej wściekłości surlał się do głębokiego jaru. Trzask łamanego jałowca wyznaczył szlak jego ucieczki.

Nie pogońono za zwierzem. Zajęto się panem na Mazowszu, zawieszonym między niebem a ziemią. Zdjęty z dębu, książę sapał ciężko przez dłuższą chwilę, a dopiero potem w krótkich zdaniach opowiedział swą przygodę.

Zrzucony przez przerażonego konia i pozbawiony oszczepu musiał szukać schronienia na dębie. Gdyby nie przytomność umysłu i kryjówka na tęgim konarze, nie żyłby już, rozszarpany przez okrutną bestię.

Jednakże to nie koniec przygód. Zaledwie połączono się z pozostałymi grupami i już konno wyruszone w drogę powrotną, ze świerkowego zagajnika wypadł jeleń. Piękny okaz rogacza o rozłożystym wieńcu na głowie, jaki nieczęsto spotyka się w borze. Widząc orszak konny jeleń przystanął na moment. Zawahał się. I to go zgubiło. Jagiełło wyszarpnął oszczep z ręki giermka i cisnął z całej siły. Trafił. Rogacz zwałił się na murawę.

Niemal w tym samym momencie ze świerczyny rozległ się ryk innego jelenia. Samca zwycięzcy oznajmającego puszczy, kto tu jest prawdziwym władcą stada.

- Aj, tamci musi być sztuka. Marzenie - jęknął z zachwytem pan Cichosz z Psiej Góry i sięgnął po oszczep.

- Pozostańcie tutaj. Ja się z nim zmierzę - monarcha skierował rumaka w stronę zagajnika, lecz ruszyć nie zdążył, albowiem Cieszko jednym susem przyskoczył do konia i uwiesił się cugli.

- Panie najmiłościwszy, na Boga, nie jedźcie sami - rzucili półgłosem. - Tam zasadzka. Ptaki w świerczynie zamilkły na amen. W zagajniku ktoś obcy być musi. Jelenia skrzydlate się nie lękają. Ludzie tamże są i głos rogacza naśladują udanie. Łotry jakoweś, bo po cóż by się kryli? A może to Krzyżaki ze Szczytna? Lub wyprawa z Malborka? Do granicy stąd, jakby kamieniem cisnąć.

Na dyskretny znak króla Władysława połowa drużyny skreśliła powolutku w las i zataczając półkole od tyłu dotarła do zagajnika. Kiedy w powietrzu rozległ się umówiony krzyk orła, z obu stron popędzono galopem.

Po krótkiej, lecz krwawej walce dziesięciu Krzyżaków legło bez ducha.

- Żywo! Zawdzięczam ci, wilczku - Władysław Jagiełło przycisnął bliźniaka serdecznie do piersi. - Jakże ci się odwdzięczę?

- Nie mnie, miłościwy królu, ale jeleniowi wdzięczność winniście. Gdyby nie zwierzę ów, nie spostrzegłbym braku ptactwa w świerczynie i nigdy nie odgadłbym plugawej zasadzki gotowanej przez komturowych zbójców.

- Skromnyś, wilczku, lecz to ci się jeno chwali - Jagiełło jeszcze raz ucisnął



młodzika. - Niechaj pycha nigdy nie zapaści korzeni w twoim sercu. A że wdzięczność długi nakazuje spłacać, zabieram cię do Krakowa. W szkołach uczysz się będziesz. Później powrócisz tu, aby w moim imieniu doradzać i pomagać leśnym ludziom.

- Ja zaś, najmiłościwszy panie - dodał książę Janusz - dla wspomnienia waszego pobytu w mazowieckich borach jeszcze dziś Łomży prawa miejskie nadam. I herb ustanowię, ażeby we wdzięcznej pamięci wydarzenia te po wsze czasy zachować się mogły, bo przecież powinny.

Pan na Mazowszu słowa dotrzymał. Od tamtej pory Łomża jest nie leśną osadą, ale miastem. I herb piękny posiada. Z królewskim jeleniem w skoku i z kilkoma żołędziami. Te ostatnie dorzucił stary książę na pamiątkę owego dębu, który ocalił mu życie.

## Zbójckie dzieje Pysznego Janka z Czerwonego Boru

Od podpalenia puszczy przez Janka Sierotę po najeździe Jadźwingów minęło dwieście, trzysta, czterysta, a może nawet i pięćset lat i ludziska pomaleńku zaczęli zapominać o tamtej straszliwej zarazie i o pożarze oraz o nazwie boru zrodzonej od czerwonej łuny. Coraz rzadziej mawiano o borze, że jest czerwony i krwawy, za to coraz częściej, że jest niezwykle grzybiasty. Bo faktycznie, równie dorodnych borowików, rydźów i maślaków w innych lasach nie widywano. A przynajmniej nie w takich ilościach. Tutaj na grzybobranie można byłoby przychodzić z sierpem albo i kosą.

Nikt spośród spokojnych mieszkańców królewskiej Zagajnicy, bartników, rudników czy smolarzy, nie przewidywał nawet w najgorszych przeczuciach, że straszliwa nazwa Czerwonego Boru wkrótce znowu się odrodzi...

Zaledwie sznur jeźdźców uzbrojonych po zęby i wozów krytych płótnem na pałakach zniknął pomiędzy drzewami, zezowaty Onufry wylazł z leśnej budy i zbliżył się do śladów odcisniętych wyraźnie w wilgotnym piasku.

- Ani chybi wozy pełne są bogactwa - mruknął pod nosem pochylając się nisko.  
- Może wiozą srebro, złoto i insze drogocЕННОści? Gdyby były puste, koła nie ryłyby się równie głęboko. Narachowałem siedem wozów. Wielkich i bardzo pilnie strzeżonych. Pięciu zbrojnych pomykało na przedzie. Z tuzin ich zdążyło przy furach, nie licząc woźniców oraz kilku kupców. No i jeszcze pięciu z mieczami i łukami w tylnej straży. Tak, tak, trza dać znać komu należy o skarbach wędrujących przez naszą puszcę.

Onufry jeszcze raz obejrzał ślady, potem rozejrzał się bacznie dookoła, aż wreszcie gwizdnął cichutko na psa i nie wracając do bartniczej budy skreślił gwałtownie w stronę ciemniejszej z boku dąbrowy.

Tymczasem wyprawa kupiecka podążała uparcie naprzód. Przez bory, o których nie najlepiej wyrażano się w Królewcu, starano się jechać ostrożnie, przypatrując

łętkliwie każdemu gęstszemu zagajnikowi, każdej kępie świerczyny czy jałowca. Nie raz i nie dwa płoszono dzika umykającego w popłochu spod leszczyny, albo i niedźwiedzia mruczącego gniewnie na intruzów zakłócających mu zasłużoną drzemkę wśród zarośli. Na szczęście dziki zwierz to nie zbój. A na rozbójników dotychczas nie natrafiono.

W pewnej chwili jeden z pachołków przedniej straży zawrócił konia i pogalopował ku wozom. Zatrzymał się nie przy pierwszym, ale dopiero przy trzecim wozie, na którym obok woźnicy siedział mąż otyły, z potrójnym podbródkiem, w lisim kołpaku na głowie, w atlasowym kaftanie na ramionach i w takichże pludrach.

- Panie szlachetny! - zawołał. - Pół mili przed nami widać obszerną polanę w sam raz godzącą się na nocleg. Najwyższa pora rozbić obozowisko i solidnie wy-począć. Tu nie o nas chodzi i nie o nasze puste brzuchy, lecz o zdrożone koniska. Spójrzcie, panie, na te idące przy dyszlach. Ledwie powłóczą nogami ciągnąc fury przez cały dzień, od wczesnego świtu. I to po ciężkim terenie, po leśnych piachach i bagiennych trawach. Padną bydłatka, jeśli im odzignąć nie pozwolimy. I nie damy nażreć się do syta. Jeśli zaś padną, to kogo jutro zaprzęgniemy do wozów?

- Zgoda, Hansi. Niechaj będzie, jak radzisz - grubas w atlasowych szatach kiwnął głową i mlasnął przy tym głośno. - Dalej nie jedziemy. Na najbliższej polanie zatrzymujemy się do rana. Chyba od godziny i ja również przysłuchuję się muzyce moich próżnych kiszek. Czas pomyśleć o gotowanym jadle. I o gorących napojach.

Pośrodku przestronnej łysiny wozy ustawiono w ciasnym kręgu. Konie spętano i puszczono na trawę. Wokół rozstawiono zbrojne posterunki. Niewiele czasu upłynęło, gdy od ogniska zapachniało smakowicie grochem i wędzonką.

- Jeszcze z pół godziny i człek dorwie się wreszcie do pełnej miski - westchnął z ulgą Hansi i wymownie postukał palcem w łyżkę sterczącą zza cholewy wysokiego buta.

- Bacz, aby kto inny nie sprzątnął ci sprzed nosa apetycznej porcji. Zdaje się, że będziemy mieć gości. Pewnikiem też głodnych. Popatrz tam.

Hansi odwrócił głowę i zerknął niespokojnie w kierunku pokazywanym przez kamrata.

Z boru po przeciwnej stronie wyjechało trzech jeźdźców. Dwóch pozostało na skraju lasu, trzeci natomiast zbliżał się powoli do obozowiska królewskich kupców. Kiedy był już całkiem blisko, nie zsiadając z konia, zawołał:

- Rycerz Janko z Zielonych Mokradel prosi waszmość o gościnę. I o chwilę szczerą pogawędkę. I o nocleg spokojny przy waszym ognisku.

Kupcy nie namyślali się długo. Trzech jeźdźców obawiać się nie musieli. Poprosili przybyszów, aby wzięli udział w ich skromnej uczcie.

Rycerz Janko, mąż słusznego wzrostu, z szerokimi ramionami, czarnobrody i czarnobrewy, ze śmiałym spojrzeniem, wywodził się nie z byle jakiego rodu. Szlachetne urodzenie i szkoły, które ukończył w pacholecym i młodzieńczym wieku, sprawiły, iż gawędziarzem był zaiste przednim. Jego niezwykłych opowieści

z dalekiego świata i z pobliskich borów kupcy słuchali z otwartymi gębami.

- Herr Gott, a nie boicie się, panie rycerzu, jeździć jeno we trzech po tych borach? - zagadnął go kupiec w lisiej czapie.

- Czy się boję? He,he,he! Wolne żarty. Uczucia strachu nie znam - odparł mu kruczbrody i wzruszył drwiąco ramionami. - Zresztą, czegoż to miałbym obawiać się w spokojnej królewskiej Zagajnicy? Wilków? Tych dzikich kundli, których boją się jedynie króliki i tchórzliwe zające?

- Znam zwierzęta gorsze od wilków - westchnął głośno tłuscioch. - Leśni rozbójnicy podobno stokroć straszniejsi są od najdzikszych bestii. Wędrując bez odpowiedniego orszaku narażasz się zbyt znacznie. Żywot łatwo stracić w tej przeokropnej puszczy.

- Wykluczone, kupcze - odpowiedział czarnobrody tonem stanowczym, nie znoszącym sprzeciwu. - To nigdy stać się nie może. Nigdy.

Kupiec podniósł wysoko brwi.

- A niby dlaczego, panie rycerzu?

- Po prostu dlatego, że jestem nieśmiertelny - odrzekł znowu kruczbrody z powagą.

- Coś... coś rzekł, panie rycerzu? Czy... czy dobrze cię słyszałem? - kupiec w lisiej czapie zająknął się i ze zdumienia, a trochę i z przestraszenia omal nie wypuścił z rąk miski z wędzonką na murawę.

- Dobrześ słyszał, królewiecki antałeczku sadła - potwierdził czarnobrody i nawet się przy tym nie uśmiechnął. - Rzekłem wyraźnie, że jestem nieśmiertelny. I jest to szczerza prawda. Nie należę bowiem do zwyczajnych ludzi, których pobyt na tym marnym świecie wyznaczony jest przez dni, tygodnie, miesiące i lata. Żyłem wiecznie i wiecznie żyć będę. Wiedz, iż bogom nieśmiertelnym jestem równy. A tej z kosą mogą obawiać się inni, lecz nie ja. Pora, abyś poznał moją tajemnicę, kupcze.

"Ten dziwny człowiek chyba naprawdę wierzy w to, co gada - pomyślał sobie tłuscioch spoglądając na gościa z nie ukrywanym lękiem. - Tylko czyż może być nieśmiertelny? Straszliwa pycha gnieździ się w jego sercu. A może to wcale nie pycha? Może on zwyczajnie szalony?"

Więcej kupiec pomyśleć nie zdążył, gdyż nagle poczuł na brzuchu ostrze rycerskiego miecza.

- Siedz spokojnie, jeśli nie chcesz, abym nadział cię na mój rożen, pasibrzuchu - usłyszał głos kruczbrodęgo. - I każ swoim ludziom odrzucić broń. Widzisz te ruchome krzaki przesuwające się ze wszystkich stron ku obozowisku? Siedemdziesięciu wojowników otoczyło obóz i idzie tu z mieczami. Poddajcie się, jesteście bez szans.

Dopiero teraz królewieccy kupcy zorientowali się kto to wtargnął podstępnie do ich obozu. Pyszny Janko, o którym tyle słyszeli i w Królewcu, i w drodze, w Nidzicy, w Kolnie i ostatnio w Łomży. Rycerz, który przed wieloma laty porzucił rodzinne gniazdo i przeniósł się do puszczy, gdzie zgromadził wokół siebie bandę zuchwałych opryszków. Pyszny Janko uważając się za istotę nieśmiertelną, równą

dawnym i obecnym bogom. Zimne dreszcze przebiegły nieszczęsnym wędrowcom po plecach. Widząc, iż nie mają żadnych szans w nierównej walce, złożyli broń. Zdali się na łaskę i niełaskę Pysznego Janka z Zielonych Mokradeł.

- Słusznie czynicie. I bardzo roztropnie - czarnobrody uśmiechnął się szeroko.  
- Macie szczęście, że jadłem dziś waszą wieczerzę. Gdyby nie to, żeście mnie gościli z całego serca, oddalibyście teraz życie. Z przebitymi gardłami wrzucilibyśmy was do strugi węgorszom i piskorszom na pociechę. Jednakże tak się nie stanie. Za dobro i ja dobrem wam odpłacę. Wyjątkowo. Bo jestem dzisiaj w wyśmienitym nastroju. Majątki wam co prawda odbiorę, ale w zamian daruję coś stokroć cenniejszego. Życie.

Na znak dany przez Pysznego Janka banda rzuciła się z wrzaskiem na bezbronnych kupców i pacholków obdzierając ich z kaftanów, portek i butów. W samych jeno koszulkach wypędziła potem nieszczęsnych na trzęsawiska bez dna.

Z kupieckich pacholków ocalał zaledwie jeden. Ten, który na chwilę przed napadem za własną potrzebą wlaź na moment w gęste krzaki. On to właśnie dotarł z okrutną wieścią na dwór królewskiego namiestnika.

Wojewoda nieraz wysyłał drużyny rycerskie, aby uwolniły bory od straszliwego zbója. Niestety, dotąd bez powodzenia. Albo wojowie nie mogli odnaleźć przebiegłego rozbójnika i powracali z niczym, albo natrafili na zbója i jego łotrzyków i wtenczas nie wracali wcale. Natomiast Pyszny Janko nadal zbójował bezkarnie w Puszczy-Zagajnicy.

Na wieść o kolejnym łotrowskim wyczynie leśnego zbója na czele rycerskiej drużyny stanął najstarszy z synów wojewody. Młodzian dzielny, u królewskiego boku zaprawiony w bojach z Turczyńcem. W stalowym pancerzu i w złocistym hełmie przyozdobionym czubem orlich piór wyglądał niczym bóg zwycięstwa. Jednakże i tym razem po rycerskiej drużynie ślad wszelki zaginął. Z boru nie powrócił nikt.

Dopiero po miesiącu, albo i po dwóch, syn smolarza z Zagajnicy, dwunastoletni Przemko przybiegł na dwór wojewody z czarną nowiną.

- Panie szlachetny, okropną rzecz widziałem w lesie! - wołał już od bramy.  
- Siedziałem akurat pod krzakami i łapałem okonie w strudze, gdy raptem ujrzałem Pysznego Janka i jego kamratów pędzących na koniach z rannym daniem. Na szczęście zbóje mnie nie zauważyli. Herszt bandy miał na głowie złoty hełm z czubem orlich piór. Taki samiuśki, jaki nosił nasz wojewodziec.

Straszliwa wiadomość błyskawicznie obiegła zamek i podgrodzie. Kto żyw, chwycił za broń i śpieszył w wielkim gniewie na zamkowy dziedziniec. Wkrótce przybyli tu też z bliższych i dalszych dworów, halabardnicy ze straży miejskich Kolna, Nowogrodu i Łomży, rzeźnicy ostrołęcy z ciężkimi toporami i mistrzowie płatneryscy z mieczami, a także puszczaczy zbrojni w kusze i lekkie łuki.

Kiedy wojowie wymaszerowali ku nieprzebytym borom ciągnącym się na południe od Łomży, nad zamkową bramą pojawił się orzeł. Zatoczył nad rycerstwem trzy kręgi i odfrunął w stronę, kędy płynął Orz.

- Spójrzcie, oto nasz młodziutki wojewodziec - wykrzyknął któryś z puszczaków.

Na pewno wskazuje nam drogę do kryjówki zbójów. Wreszcie sprawiedliwości stanie się zadość. Pomścimy śmierć setek albo i tysięcy niewinnych istot. Bracia, pośpieszajmy wszyscy za lotem orła.

Stało się, jak przewidział doświadczony puszczak. Orzeł doprowadził rycerskie drużyny do wyśmienicie zamaskowanej kryjówki pośród gęstych ostępów. Zanim zbójce zorientowali się, tkwili już w pułapce. Wojowie szczelnym pierścieniem otoczyli masyw leśny kryjący zbirów.

Jeden ze smolarzy podczołgał się w kierunku łotrowskiego siedliska.

- Poddajcie się! - zawołał. - Jesteście osaczeni. Żywa mysz nie wymknie się z naszego pierścienia. Jeżeli chcecie ocalić własne żywoty, zdajcie się na łaskę naszego wodza. Nie po was tutaj przybyliśmy, lecz po głowę waszego herszta. Na Pysznego Janka przyszedł wreszcie kres. Kat z ostrym toporem czeka na niego na zamkowym dziedzińcu. Wydajcie nam Pysznego Janka, łotra nad łotrami.

- Poddać się? Cha, cha! A niby dlaczego? Macie nas za głupców? - wiatr przyniósł od zbójcekich umocnień szyderczy śmiech Pysznego Janka.

- Nie po to obdzieraliśmy bogatych kupców do gulusieńka, nie po to przetrzasaliśmy dwory szlacheckie, nie po to ogałaliśmy plebanie z drogocенności, aby teraz z dobrej woli oddać nagromadzone skarby waszemu wojewodzie czy księciu. Mają oni wszakże dość własnego złota. Na moją głowę także nie liczcie, bo nigdy jej nie dostaniecie. Czyżbyście nie wiedzieli, bezmózzie barany, że jestem nieśmiertelny?

Walka z rozbójnikami ciągnęła się siedem dni i siedem nocy. W okrutnym boju ginęli i zbójce, i wojowie oraz puszczaczy. Rzeczki i strugi wypływające z boru poczerwieniały od krwi.

Po tygodniu z rozbójników nie ocalał nikt. Nikt, poza ich hersztem. Pyszniemu Jankowi jakimś cudem udało się wyrwać z okrażenia i pod osłoną nocnych ciemności zbiec na moczary. Tam, na niedostępnej wysepce wśród zdradliwych trzęsawisk, z zapasem strzał mógł bronić się zza osłony z bierwion całymi miesiącami.

- Nie pójdziemy przez bagna po łotra. Dość ofiar - zdecydowała starszyzna. - Rozstawiamy posterunki dookoła i poczekamy, aż sam wylezie z mokrej nory.

Jednakże Pyszny Janko wysepki pośród trzęsawisk nigdy nie opuścił. Książęcy skryba zapisał potem w zamkowych kronikach, że herszt puszczańskich rozbójników, Pyszny Janko uważający się za istotę nieśmiertelną, wyzionął ducha na moczarach zwyczajnie z głodu. Innego zdania byli puszczaczy. Jeszcze długo, długo po tamtych wydarzeniach sędziwi smolarze, bartnicy, łowcy i rudnicy zapewniali każdego, kto zechciał ich słuchać, iż po Pysznego Janka przyleciał wówczas cały tabun diabłów i porwał zbója do piekła. A jako że był nieśmiertelny, żyje tam do dzisiaj. Tyle że w kociołku z gotującą się nieustannie smołą.

Jedno jest pewne: od strug i rzeczułek poczerwieniałych od krwi ofiar owej straszliwej bitwy bór nad Orzem ponownie zaczęto nazywać Czerwonym Borem. Po latach dokładnie w tamtym miejscu powstała też niewielka wioska. Czerwony Bór się nazywa.

## WOJEWÓDZTWO SUWALSKIE

# Bajka o królu ryb

(jezioro Śniardwy)

Bardzo dawno temu tylko jeziora i lasy pokrywały falistą ziemię mazurską. Jeziora były pełne najrozmaitszych ryb: sielaw żyjących w głębiach wód, węgorzy podobnych do węży, sumów o wielkich wąsatych paszczach, szczupaków i okoni.

Stalowszarsze czaple, z wdziękiem noszące na głowach czarne pióropusze, budowały gniazda na wysokich drzewach. W trzcinach nadbrzeżnych ukrywały się gromadą dzikie kaczki, perkozy i bąki. Po falach jeziornych pływały chmury białych łabędzi.

Wysoko w przestworzach, dotykając błękitnego pułapu nieba, wisiał nieruchomo orlik, gotowy spaść na upatrzoną ofiarę z szybkością błyskawicy.

Z lasów wystrzeliwały ku obłokom wysokie, proste jak świece sosny i świerki, miododajne lipy i brzozy o białej korze. Ogromne dęby wyginały konary w dziwaczne kształty. Leśne polany wyglądały jak wspaniałe zielone kobierce, wyszyte różnobarwnymi kwiatami. W matecznikach znajdowały schronienie brunatny niedźwiedź, żółty ryś o zielonych ślepiach, z ostrymi pędzelkami na uszach, i rosochaty łoś.

Zimą wycie zgłodniałych wilków wznosiło się ku koronom drzew, na których rajcowały o szarej godzinie czarne gawrony, napętniając ciszę hłaśliwym, smętnym krakaniem.

Wszystkie te istoty, a potem i człowiek, który ostatni zjawił się w krainie jezior i lasów, musiały ciężko walczyć o życie. Człowiek karczował puszcę ogniem i sochą, by ziemia dała mu chleb. Z bierwion budował chaty, aby nie paść ofiarą brunatnego niedźwiedzia i burego wilka. Łowił zwierzęta, które dawały mu mięso na pokarm i skórę na odzież.

Wówczas właśnie żyła w Śniardwach ogromna ryba sielawa. Na wielkiej głowie nosiła złotą koronę, wysadzaną czerwonymi jak krew drogimi kamieniami. Ludzie żyjący w gromadach nad brzegami jezior i rzek, w puszczy lub na wykarczowanych polanach, znali rybę olbrzyma. Nazywali ją królem ryb. Król wylegiwał się na mieliźnie nadbrzeżnej, z głową wzniesioną ponad taflę wody, wygrzewał się w słońcu, prychał zadowolony i przyglądał się ludziom, którzy bali się do niego zbliżyć.

Przez tysiące i tysiące lat człowiek rzadko odważał się wypłynąć na jezioro, po którego niebezpiecznych falach prześlizgiwał się w jednoosobowej wątej dłubance, wyciosanej mozolnie kamienną siekierą i wypalonej z jednego pnia dębu.

Potem ludzie nauczyli się w drewniane listwy wsadzać kawałki krzemienia i tym zębatym ostrzem rozdzielali pnie na mniejsze części. Takie same zębate narzędzia wyrabiali później z żelaza i cięli nimi drzewo na tarcicę. Wkrótce też ukazała się na Tałtach pierwsza łódź rybacka, zbita z tarcic dębowych. Za sobą ciągnęła wiązaną z przędzy sieć, w którą ryby wpadały srebrzystymi chmarami. Z czasem takie łódki, żagle i niewody ukazywały się na wszystkich jeziorach

mazurskich i rybacy czerpali wielkie bogactwa z wód, w których od pradawnych czasów mnożyły się ryby.

Widząc to, król ryb, zazdrosny o swoją władzę nad jeziorami, zapłonął nienawiścią i poprzysiągł człowiekowi zemstę.

Od tego czasu, skoro tylko zauważył w oddali łódź rybacką, podpływał pod nią, przeżył wielki, silny grzbiet, unosił w górę łódkę i wywracał, a wyrzuceni do wody rybacy tonęli. Zatrwożeni ludzie nie odważali się wypływać na połowy - wśród braci rybackiej zaczął szerzyć się głód.

Żył wówczas w Mikołajkach pewien rybak, Józef Kuryna. Teraz i on nie miał odwagi wypłynąć na jezioro i jego dzieci głodowały. Widząc ich zbiedniałe, smutne twarzyczki, ojciec długo rozmyślał nad tym, jak działwę uchronić od śmierci głodowej, aż wpadł na pomysł: ukuł z żelaza długie gwoździe, o ostrych jak ciera głogu szpicach, i wbił je w stępkę swojej łodzi. Nocą, kiedy poświata pełni zmieniła fale wody w strumienie srebrne, wypłynął na Bełdany. Zaledwie zanurzył niewód, gdy nad falami Śniardw zaśniła trójkątna płetwa władcy jezior. Olbrzym szybko się zbliżał, dał nura pod łódź i... nadział się na długie żelazne gwoździe wystające z dna. Z ogromnego bólu i wściekłego strachu zaczął wstrząsać łodzią jak łupinką orzecha. Zmącił wodę jak najsilniejsza wichura. Wreszcie uwolnił się i srodze poraniony odplynął do samotnej zatoki Śniardw, której wody dzisiaj jeszcze są rdzawe od krwi olbrzyma. Leżąc w mule nadbrzeżnym uniósł ukoronowaną głowę i jęcząc wołał o pomoc. Usłyszała to dziwożona, mieszkanka leśnej polany, szybko przybiegła i postrzępiony rybi grzbiet natarła kojącą maścią z leśnych ziół.

Minęły długie miesiące, zanim głębokie rany króla ryb się zagoiły. Osłabły jeszcze, ale żadny zemsty, pływał po falach Śniardw, Bełdan i Tałt, ale wszędzie nad sobą widział wystające z rybackiej łodzi ostre żelazne kolce. Kuryna bowiem podzielił się swoim pomysłem po sąsiedzku z innymi rybakami. Wówczas olbrzym postanowił podjąć walkę w inny sposób. Nie zwracał uwagi na łodzie i grożące mu żelazne ciernice, lecz polował na pływające za łódkami niewody.

Wpadał do ich wnętrza, kurczył się, przeżył i podrzucał gibkim, silnym ciałem, rozrywał sieci jak pajęczyny. Uwalniał wszystkie złowione ryby.

Wkrótce na ziemi mazurskiej, jak długa i szeroka, nie było ani jednego całego niewodu. Rybacy próbowali wiązać sieci z silnych powrozów, usiłovali pojmać swego gnębiciela... daremnie. Ilekroć mniemali, że go złowili, i w porywczym pośpiechu przyciągnęli schwytanego olbrzyma co tchu do łodzi, okrutnie rzucał się ze straszną siłą i rozrywał oka sieci.

Wśród braci rybackiej znów zapanował głód, bieda i nędza. Wielu rybaków opuściło wówczas strony ojczyste i szukało przytułku w bratniej krainie na Mazowszu, gdzie w jeziorach nie włóczyły się ukoronowane potwory.

Anna, żona Józefa Kuryny, patrząc na swe wynędzniałe, głodne dzieci, przypomniała sobie, że w głębi leśnej nad Śniardwami znajduje się stary kamień ofiarny. Kiedyś składano na nim obiady Puskajtisowi, bogu puszczy i lasów. Mało kto pamiętał, a i kamień był już zapomniany, do połowy zapadnięty w ziemię, porośnięty mchem. Ale może dobre bóstwo pomogłoby nieszczęśliwym ludziom?



Anna udała się tam nocą. Zgodnie z dawnym pogańskim obrzędem zabiła zabrane ze sobą czarne jagnię. Gorąca czerwona krew trysnęła na głaz. Kobieta z zapartym tchem oczekiwała jakiegoś znaku. W ciemnym ponurym lesie mroził ją przenikliwy strach. Pływały chwile długie, pełne tajemnej grozy. Wreszcie ponad koronami drzew wzeszedł księżyc. W jego poświacie Anna dostrzegła u swych stóp jakiś lśniący przedmiot. Schyliła się. Był to mały żelazny pierścień, wytopiony z rury darniowej. Podniosła go, zabrała ze sobą i pokazała mężowi.

Kuryna długo przyglądał się niewielkiemu krążkowi i nagle zrozumiał: Anna przyniosła z lasu cenną pomoc przeciw ukoronowanemu potworowi.

Przez długie tygodnie rybak kuł sieć, jakiej jeszcze nie było: spawał ją z małych żelaznych pierścieni, podobnych do tego, jaki Anna przyniosła z puszczy. Niewód był tak ciężki, iż Kuryna i dwaj jego starsi synowie z ledwością zawlekli go wreszcie do łódki. Uczynili to o cichej, ciemnej północy. Rybak przymocował sieć do dwóch długich pni. Spuszczona do wody, utrzymała się na jej powierzchni. Wy płynęli natychmiast na Śniardwy, a sieć płynęła za łodzią.

Kiedy król zauważył łódź Kuryny, rzucił się do niewodu usiłując go rozerwać. Podskakiwał, przeżył się, wreszcie zaplątał się w żelaznych pierścieniach. Wił się, mozolił i szamotał daremnie- sieci nie rozerwał. Był schwytyany. Mimo rozpaczliwej walki został przez rybaka przyciągnięty do łodzi. Głowa potwora o gniewnie wytrzeszczonych ślepiach sterczała ponad wodą. Dojrzał nad sobą błyszczące ostrze rybackiego noża. Wówczas olbrzym przemówił ludzkim głosem.

- Jeśli mi darujesz żywot, będziesz miał przebogate połowy ryb do końca życia!

- Wszelki duch!... - zawołał przerażony Kuryna. - To ty mówisz?! - Król ryb nie odpowiedział na to pytanie, lecz powtórzył:

- Jeśli mi darujesz żywot i wrócisz wolność, będziesz miał do końca życia przebogate połowy!

- Nie wierzę ci! - zawołał rybak. - Jeśli cię wypuszczę, uciekniesz i nie będę miał nic; a gdy cię zabiję, będę miał twoje mięso.

- Zastanów się - powiedziała powoli ryba.

Józef, który wznosił nóż do ciosu, zawahał się. Pomyślał chwilę. Nie, nie zabije króla ryb. Ale sam za słaby jest, by potwora zabrać do Mikołajek. To bardzo daleko. Zawiezie więc wieloryba w jakieś bezpieczne miejsce, potem opowie towarzyszom o całej historii i przyjdą wszyscy, aby wspólnymi siłami zabrać olbrzyma do miasta. Niech cała wieś osądzi go i wyda wyrok.

Jak postanowił, tak uczynił. Złowionego władcę jezior zaciągnął w żelaznej sieci do brzegu samotnej wysepki, tam przymocował niewód z jeńcem do urwistej skały i odjechał.

A miejsce to nazwano później Czarcią Wyspą.

Kuryna wrócił do domu z połowem, jakiego nie miał dotychczas żaden rybak w krainie jezior i lasów. Łódź jego była tak pełna wielkich grubych ryb, że fale wdzierały się przez burtę do środka. Na drugi dzień Józef zaniósł swój połów na rynek. Szybko otoczyła go gromada mieszkańców, ofiarowując za każdą rybę srebrnego denara - taki głód panował na ziemi mazurskiej. Lecz Kury-

na sprzedawał ryby bardzo tanio, a biednym rozdawał za darmo, mówiąc:

- Bierzcie i jedzcie. Niech wam i waszym dzieciom wyjdzie na zdrowie!

Kiedy wokoło niego zebrała się brać rybacka, zaciekawiona, jakim sposobem zdobył tę ogromną ilość ryb, Józef przemówił:

- Bracia, posłuchajcie!

I opowiedział, jak Anna przyniosła z lasu ów żelazny pierścień, jak dzięki temu zrodził się pomysł wykucia żelaznej sieci, jak ten niewód wykuwał dniami i nocami, jak wyjechał potem na jezioro i tym właśnie niewodem złowił króla wód i jak bezkarnie już można łowić ryby.

- Nie mogłem tego olbrzyma sam przywieść do Mikołajek - kończył. - Potwór jest bardzo wielki, a sieć ciężka. Zostawiłem onego czarta-wieloryba przy wyspie. Jutro rano, bracia, popłyniemy wszyscy do tej Czarciej Wyspy i wspólnymi siłami przyciągniemy go do Mikołajek.

Wieść o tym, że Józef Kuryna złowił króla ryb, rozeszła się wśród ludu mikołajskiego lotem błyskawicy. A brać rybacka gotowała się przez cały dzień na jutrzejszą wyprawę. Naprawiano żagle i wiosła, ostrzono tasaki i noże rybackie, znoszono długie bosaki, przygotowywano grube zwoje mocnych lin, by żelazny niewód z jeńcem przywiązać do łódek. Wreszcie sprowadzono łodzie do mostu nad przesmykiem łączącym Tałty z Jeziorem Mikołajskim - stamtąd o świcie rybacy mieli wyruszyć na Czarcia Wyspę.

Wczesnym rankiem tłumy ludzi zgromadziły się przy moście. Wszyscy oczekiwali przybycia Józefa Kuryny, a kiedy się zjawił, powitali go radośnie i wesolo:

- Ty, Józefie, wykułeś oną sieć, tyś w niej złowił onego wieloryba, godzi się więc, abyś ty był dzisiaj naszym dowódcą.

- A więc w drogę! - krzyknął Józef wskakując do łodzi.

Droga była niebliska, ale że żwawo chwycili za wiosła, wkrótce podpłynęli do skalistej wysepki.

Kuryna przeciął powróż, którym sieć była przymocowana do głazów, kilku rybaków wbiło w oka niewodu zakrzywione haki, osadzone na długich drągach, a reszta zaczęła co sił wiosłować do tyłu.

- Rusza się?

Żelazna sieć z uwieczonym wewnątrz królem ryb drgnęła. Grubymi linami mocno przywiązano sieć do łodzi i z wysiłkiem podciągnięto. Powoli zaczęła oddalać się od skały.

Łodzie rozjechały się na kształt wachlarza. Liny wyprężyły się. Niewód popłynął posłusznie za łódkami. Od czasu do czasu ukazywał się na powierzchni jeziornej, a wtedy pokryty srebrnymi łuskami grzbiet króla ryb lśnił jak błyskawica.

- Do Mikołajek! Do Mikołajek! Na sąd potwora! - wołali rybacy. Wiosłowali równomiernie. Z błękitnej kopuły bezchmurnego nieba przyświecało słońko.

Lecz nagle wiatr ucichł. Martwa cisza zaległa dookoła. Powietrze stało się duszne. Żagle opadły bezsilnie wzdłuż masztów. Na czołach rybaków wystąpiły krople potu. Z wysiłkiem, powoli posuwali się naprzód. Wtem silny podmuch zmaścił taflę jeziora. Od Mikołajek nadciągała wichura. Pędziła przed sobą kłębowisko

ołowianych chmur, które pochłoneły słońce. Niespodziewanie uderzyła w żagle z taką wściekłością, że rozdarła je na kartki papieru. Orala Śniardwy ogromną sochą, pozostawiając za sobą długie, głębokie bruzdy. Jezioro zakipiało jak wrzątek w ogromnym kotle. Wysokie fale tłukły o burty łodzi, to zapadających się w bezdeń jeziorną, to tańczących na białych grzywach bałwanów jak łupinki orzechów. Zaskoczeni nawałnicą rybacy nie zdołali już utrzymać łodzi. Co chwila wyrwały się okrzyki trwogi. Rybacy z przerażeniem spoglądali na złamane, zwalone za burty maszty.

- To czary! - wołał ktoś rozpaczliwie. - Tę burzę sprowadził na nas ten potwór w sieci! Wypuśćmy go, jeśli nam życie miłe!

Zakrzyczeli go.

- Odwagi! - nawoływał Kuryna. - Nie możemy ustąpić złym siłom!

- Odwagi! - zawtórowało kilkanaście głosów. - Razem pokonamy potwora. Nas jest, odważnych, wielu, on jeden. Nie da nam rady!

Ponownie rzucili się do wiosel. Zaczęli wiosłować równo, spokojnie. Żyły nabrzmiały im na czołach, wysiłek zapierał dech w piersiach. Łodzie ruszyły we właściwym kierunku. I ... rzecz osobliwa: w końcu wichura ustała tak nagle, jak się zerwała. Fale uspokoiły się. Chmurzyska odleciały jak stado gawronów. Zaświeciło ponownie słońce.

Ludzie odetchnęli.

- Hura! Wygraliśmy! - zakrzyknęli rybacy.

- Patrzcie, ławica sielaw! - wykrzyknął Kuryna.

Wkoło niewodu tliły się tysiące żywych iskier.

Odezwały się liczne głosy:

- A tam koło nich szczupaki...

- Tu bliżej okonie...

- A tu kłębówisko węgorzy...

- Oho, nawet sumy, czarne, wąsate sumy...

Kuryna zwrócił się do towarzyszy.

- Ryby żegnają swojego króla. Dlatego zebrały się takimi wielkimi gromadami koło sieci.

Rybacy wlekli niewód przez cały dzień. Dopiero nocą dobili do mostu w Mikołajkach. Na przystani czekały zaniepokojone już gromady kobiet i dzieci. Wracające łodzie powitano wesołymi okrzykami:

- Są nasi! Witajcie!

- Patrzcie, jaki wielki potwór! Dla wszystkich starczy mięsa!

- Niech żyją rybacy, niech żyje Józef Kuryna!

Kuryna podniósł rękę i zawołał:

- Bracia, idziemy na rynek! Tam odbędzie się sąd nad królem ryb. Wkrótce zebrał się tłum. Józef Kuryna przemówił:

- Bracia, tak dumam, że przewodniczącym naszego sądu powinien być Jan Kamiński, najstarszy i najbardziej doświadczony wśród nas. A sędziowie i oskarżyciele to my wszyscy, którzyśmy cierpieli z powodu tego łuskowatego zbrodniarza.

- Zgoda! Niech tak będzie! - zawołali zebrani.

- Chcecie, abym dzisiaj przewodniczył sądowi - wystąpił Jan Kamiński. - Przyjmuję tę godność. Rozpoczynamy! Niech mówią ci, którzy mają coś do powiedzenia o zbrodniach tego łotra w sieci.

Zaraz ktoś zabrał głos:

- Wiemy przecież, iż ten złoczyńca, zazdrosny o swoją władzę nad jeziorami, szkodził nam z wszystkich sił. Wywracał nasze łodzie. Ilu naszych dzielnych towarzyszy wówczas utonęło! Gdyby nie Józef Kuryna i jego żelazne kolce, wszyscy bylibyśmy zginęli z głodu. Za te zbrodnie on, król ryb, winien być ukarany surowo i sprawiedliwie. Będę głosował za tym, aby został skazany na śmierć.

Zabrzmiały gniewne pomruki. Zaczął mówić jakiś młody rybak:

- Bracia rybacy, przypomnijcie sobie, jak ten ukoronowany łotr rozdierał sieci, które nas kosztowały tyle roboty i trudu. Wspomnijcie, ileż to razy, ten okrutnik odbierał nam owoce naszej pracy, kiedy złowione ryby uciekały ze zniszczonych niewodów. O pustych żołądkach wyjeżdżaliśmy na jezioro, z próżnymi rękami i głodni musieliśmy wracać na dalszą biedę i nędzę. Ten zbrodniarz niszczył nie tylko naszą własność. Oskarżam go również o zabójstwo, gdyż był przyczyną śmierci głodowej wielu z naszych bliskich. Zasluguje na jedną tylko karę: na karę śmierci!

- Dobrze mówi - odezwały się liczne głosy. - Śmierć potworowi! - A jedna z kobiet zawołała:

- Jaką rozpacz nosiliśmy w sercach my, matki, kiedy nasze dzieci wołały jeść, a my nie miałyśmy im co dać! Ileż łez serdecznych przelewałyśmy po nocach i dniach przez tego w koronie, gdy dzieci umierały! Nie mam litości dla tego zbójca potwora. Niech go dosięgnie sprawiedliwa zemsta, na którą zasłużył!

- Śmierć! Śmierć! - powtórzyli pomni krzywd mieszkańcy Mikołajek. Wtedy podniósł rękę Jan Kamiński i dał znak, aby wszyscy się uciszyli. Potem przemówił:

- Słyszeliśmy tu wszystkie oskarżenia wniesione przeciw temu zbójowi pojmanemu w sieci Józefa. Wiemy wszyscy, że owe skargi są prawdziwe, a nie żelgane. Wszyscy przecie byliśmy tak samo krzywdzeni przez tego potwora. Wydaje mi się, iż dalsze oskarżenia są już zbyteczne. Dlatego sędzę, że możemy wydać sprawiedliwy wyrok: śmierć!

W krwawym blasku pochodni błysnęły tasaki i ostrza rybackich noży. Wtedy król ryb podniósł głowę uwiklaną w brzęczące żelazne oka sieci i przemówił ludzkim głosem:

- Jestem praojcem i wadcą wszystkich ryb, żyjących w waszych jeziorach...

Przerwały mu gniewne okrzyki:

- Wywracałeś nasze łodzie!

- Rozdzierałeś nasze sieci!

- Śmierć! Śmierć!

Król ryb ciągnął dalej:

- Możecie mnie zabić. Lecz jeśli to uczynicie, wówczas razem ze mną w waszych jeziorach zginą wszystkie żyjące w nich ryby.

Zapadło milczenie.

Wówczas Kamiński zapytał:

- A gdybyśmy ci zostawili wolność?

- Wtenczas - odpowiedział potwór otwierając szeroko olbrzymią paszczę - wtenczas ponownie będę rozrywał sieci. Wreszcie połknę was i wasze Mikołajki i nawet ślad po nich nie zostanie!

- Ty diable! - krzyknęli rybacy i już któryś zamierzył się tasakiem na wieloryba.

- Nie zabijaj! - zawołał w tej samej chwili Józef Kuryna i chwycił towarzysza za rękę. - Chodzi o miasto, o nas wszystkich! - Zwrócił się do tłumu: - Slyszeście, co powiedział ten zbój? Co mamy uczynić?

Po długich naradach mieszkańcy Mikołajek uchwalili, że nie zabiją króla ryb, lecz nie dadzą mu również wolności, by potwór nie rozdzierał ponownie sieci i nie połknął wioski.

Postąpili w myśl uchwały. Wyciągnęli olbrzyma z żelaznej sieci i przywiązali go łańcuchem do mostu nad przesmykiem łączącym Tały z jeziorem Mikołajskim.

Tam król znajduje się do dnia dzisiejszego.

A w samym środku rynku mikołajskiego, w tym miejscu, gdzie ongiś odbył się sąd nad rybaolbrzymem, na pamiątkę baśni o królu ryb postawiono fontannę - z paszczy ukoronowanej ryby tryskają strumienie wody jeziornej.

## Czarownica znad Beldan

(jezioro Beldany na Łęgu Mikołajskim)

Na Łęgu Mikołajskim mieszkała czarownica. Widywały ją czasem kobiety zbierające jagody i grzyby w lesie. Miała bardzo długie włosy. Kiedy zaplątała je czasem w sitowiu, przez trzy dni musiała je rozplątywać. Jezioro burzyło się wtedy. Chichot czarownicy słychać było aż w zatoce koło Wierzby. Mówili rybacy: "Czarownica myje włosy w Beldanach". I nie wyjeżdżali na jezioro, nie zarzucali sieci.

Kiedyś jednemu chłopu z Wisun urodziła się dwunasta córka. W Wisunach wszyscy już byli jego kumotrami, więc wyszedł na drogę, aby zaprosić w kumy pierwszego przechodzącego człowieka. I oto na ścieżce prowadzącej do jeziora natknął się na czarownicę. Poznał ją po długich włosach. Siedziała na kamieniu i liczyła paciorki. Ominął ją z daleka i na kumę nie poprosił.

Czarownica rozzłościła się. Potrząsnęła koralami i zawołała:

- Miałam już dla twojej córki podarunek, ale żeś mnie na kumę nie zaprosił, nie zazna ona szczęścia!

Czarownica dotrzymała słowa. Anna wyrosła na bardzo brzydką, najbrzydszą dziewczynę w Wisunach. Dokuczano jej i wyśmiewano. Nikt nie chciał z nią przebywać, żadna z dziewcząt nie chciała się z nią przyjaźnić.

Zaczęła kryć się przed rówieśnicami. Uciekała do lasu, przysiadła nad strumieniem lub nad jeziorem i długo wpatrywała się w odbicie swojej szkaradnej twarzy. Powtarzała za innymi:

- Jestem córką czarownicy. Gdzie jest moja matka?

Pewnego razu, gdy tak siedziała nad leśnym strumykiem i płakała gorzko nad swoją dolą, ujrzała w wodzie obok odbicia swojej twarzy twarz czarownicy. Usłyszała jej głos:

- To prawda, że jesteś bardzo brzydka. Kto spojrzy na ciebie, odwraca się ze wstrętem - przypominasz im mnie. A przecież na mój widok kobiety błędną, a mężczyźni spluwają. Krowom odbieram mleko, rybakom płacząc sieci, pijanych wodzę na manowce. Nocą przedzierzgam się w puchacza i krążę wokół wsi. Ale tobie nie uczynię nic złego. Nazywają cię córką czarownicy, więc dam ci wiano jak córce. Weź sobie te korale. Przeznaczyłam je dla ciebie, kiedy byłaś dzieckiem. Ale i teraz ci posłużą. Włóż je na szyję i spojrzysz do strumienia.

Anna włożyła korale na szyję i spojrzała do strumienia.

- Widzę piękną dziewczynę, patrzy na mnie. A jak cudnie błyszczą jej korale!

- Dotknij tylko koralu, a przekonasz się, kto to jest ta piękna dziewczyna.

- Ona także dotknęła koralu! Czy to naprawdę jestem ja?

- Ty, ty, moja córko! Kto cię teraz zobaczy, zakocha się w tobie. Tylko pamiętaj: nie wolno ci zdjąć tych koralu. Kiedy je zdejmiesz, staniesz się taką, jaką byłaś i wszyscy odwrócą się od ciebie. Wracaj do wsi i zażywaj szczęścia.

Kiedy Anna odeszła, czarownica mruknęła do siebie:

- Nie zaznasz ty długo szczęścia i nie przyniesiesz go nikomu.

Wraca Anna brzegiem jeziora, zatrzymuje się co krok i zagląda w zwierciadło wody.

- Wodo, wodo, powiedz mi, czy ja naprawdę jestem piękna?

Zobaczyły ją siostry, otaczają kołem.

- Jakie cudne masz włosy! Jakie piękne masz oczy!

Z zazdrością dotykają koralu na szyi.

- Skąd je masz, Anno? - pytają. - Gdzie byłaś? Kto cię tak hojnie obdarował?

Anna uśmiecha się, nie chowa do nich urazy, ale pomna przestrogi czarownicy nie chce zdjąć koralu ze swojej szyi.

- Byłam w lesie nad strumykiem, tam gdzie rośnie jarzębina. Jarzębinie się skłoniłam, o korale poprosiłam.

Biegną dziewczęta do lasu, szukają strumyka i jarzębiny. Jest strumyk, jest i jarzębina. Zrywają jarzębinę, czerwone jagody nanizują na nitkę, jarzębinowe korale zawieszają na szyi. Piękna jest jarzębina, piękne są korale jarzębinowe, ale korale na szyi Anny są o wiele piękniejsze. Piękne są dziewczęta w Wisunach, splatają długie warkocze, ale najpiękniejsza z nich jest Anna. Jej włosy błyszczą jak złoto, jej oczy są głębokie jak jezioro, jej usta jak korale jarzębiny.

Siedzi Anna na ławce przed domem, dziewczęta otaczają ją kołem.

- Anna to czy nie Anna?

Schodzą się chłopcy, patrzą na nią i wzdychają. Odchodzą smutni, śnią o Annie i budzą się z radością, że ją znowu zobaczą. W czasie połowu nad jeziorem zamyślają się nagle, spoglądają z tęsknotą na brzeg.

Na brzegu siedzi Anna, rozplata długie włosy, uśmiecha się i zamyśla na długo.

W południe przychodzi czarownica, siada obok niej nad brzegiem jeziora, zaplata jej włosy i przestrzega:

- Nie wolno ci się zakochać, moja córko. Żał mi cię, ale inaczej być nie może.

- A jeśli się zakocham? - pyta Anna i myśli o pięknym Eryku, który kiedyś, gdy była jeszcze brzydka, poprosił ją do tańca. On jeden nie dokuczał jej wtedy i nie omijał.

- Zgubisz jego i siebie - odpowiada czarownica.

Chodzi Eryk za Anną, zagląda jej w oczy i prosi:

- Zostań moją żoną, Anno, a uczynię wszystko, czego zechcesz.

Biegnie Anna do czarownicy i pyta:

- Co mam uczynić? Żał mi go, był zawsze dla mnie dobry. Zlituj się nad nim i nade mną, poradź.

Zamyśliła się czarownica, zajrzała do czarodziejskiego zwierciadła.

- Jeśli ci przyniesiesz najpiękniejszą muszlę z jeziora bełdańskiego, możesz zostać jego żoną.

Wraca Anna przez las, zrywa kwiaty leśne i wpina we włosy. Ptaki śpiewają, wiewiórki skaczą z drzewa na drzewo, ale Annie niewesoło. A jeśli nie uda się Erykowi zdobyć muszli?

Piękne jest jezioro Bełdan: wysokie brzegi strzeżone są przez sosny wysokie. O zmroku, gdy gwiazdy pojawiają się na niebie, w zatokach, wśród trzciny i szuwarów cichnie wiatr, wygładza się powierzchnia wody. O takiej porze król Bełdan spoczywa na dnie jeziora; o takiej porze Eryk mógłby zdobyć cudowną muszlę.

W sercu Anny zjawia się rzewny smutek. Wykrada się z domu, siada nad brzegiem jeziora i marzy. Marzy o tym, aby odejść stąd w świat daleki, nad wody innego jeziora, na inny brzeg. Tam gdzie nikt nie zna jej dawnej brzydoty, gdzie nikt się nie zastanowi nad jej nieoczekiwaną pięknnością. Zdejmuje z szyi korale i nachyla się nad zwierciadłem wody. Przy blasku księżycy ukazuje się twarz dawnej Anny - brzydka, wzbudzająca odrazę. Anna szybko wkłada korale i ogląda się niespokojnie. Nikt nie powinien się domyślać, za czyją przyczyną tak się odmieniła.

Chodzi Eryk za Anną, zagląda jej w oczy i prosi:

- Anno, zostań moją żoną. Uczynię wszystko, czego ode mnie zażadasz.

I wreszcie Anna decyduje się.

- Jeśli przyniesiesz najpiękniejszą muszlę z jeziora, zostanę twoją żoną.

Jezioro burzy się i pieni. Król Bełdan rozhuśtał fale od brzegu do brzegu, ale Eryk nie zawahał się: skoczył do wody.

Czeka Anna, czekają dziewczęta z Wisun. Mija wieczór i noc, a Eryka nie widać.

- Nie wróci już Eryk, nie wypuści go z głębin król Bełdan. Wybierz mnie za męża. Ja ci przyniosę najpiękniejszą muszlę - prosi młodszy brat Eryka.

Czeka Anna, czekają dziewczęta z Wisun. Mija wieczór i noc, a i młodszy jak nie widać, tak nie widać.

Usiadła Anna na brzegu jeziora i choć żał jej obu braci, zapłakać nie może. Co spojrzy na korale, co dotknie ręką paciorków, to weselsze nawiedzają ją myśli: "Czy to mało chłopców na świecie?"

Ale gdy tylko zdejmie korale, ogromny smutek wypełnia jej serce: "Biedny Eryk, biedny młodszy brat Eryka. Nie wypuści ich król Beldan z głębiny, nie wrócą do wioski, nie ucieszy się moje serce. A gdyby nawet wrócili obaj - jak wynagrodzę ich obu?"

- Okrutna jesteś, Anno - lamentuje matka Eryka. - Synów mi odebrałaś. Dwóch ich miałam tylko, na ich opiekę liczyłam w starości, a oto teraz przychodzę nad brzeg jeziora i daremnie wypatruję ich powrotu.

Mija dzień drugi, tydzień przeszedł. Król Beldan zazdrosny jest o swoje tajemnice. Któż to wie, jak obszedł się z braćmi?

W pełnię księżycową, kiedy w zatokach wśród trzciny i szuwarów ścisł wiatr, wygładziła się powierzchnia wody, biegnie Anna nad jezioro i zaklina króla Beldan:

- Wróc obu braci, a zrobię wszystko, co rozkażesz.

W taką noc król Beldan słucha wszystkich prośb i zaklęć. Usłyszała Anna jego głos:

- Jesteś piękniejsza od królowej Śniardw. Wszystkie skarby na dnie jeziora, wszystkie pieśni, jakie szemrzą fale w dzień pogodny, i wszystkie pieśni, jakimi huczą fale w dzień burzliwy są dla ciebie. Bądź moją, Anno.

- Będę twoją, jeśli wrócisz Eryka i jego młodszego brata.

Zwrócił król Beldan urodziwych braci. Stanęli obaj przed Anną z najpiękniejszymi muszlami.

- Wybierz teraz jednego z nas.

Patrzy Anna i załamuje ręce. Obaj urodziwi i obaj jednakowo jej się podobają. Ktorego wybrać, a którym wzgardzić? Jak spełnić obietnicę daną królowi Beldan?

Biegnie Anna do lasu, szuka nad strumieniem czarownicy.

- Poradź, co mam uczynić. Obaj mnie kochają i ja pokochałam obu, a przyrzekłam rękę królowi Beldan.

- Nie do ciebie już wybór, moja córko, należy. Królowi Beldan rzuć korale i stań przed braćmi, który pierwszy do ciebie się uśmiechnie, tego za męża wybierzesz.

Rzuciła Anna korale w głąb jeziora.

Jezioro wzburzyło się i zapieniło. Król Beldan rozkołysał fale od brzegu do brzegu, w trzcinach i szuwarach rozległ się chichot czarownicy.

Staje Anna przed braćmi, a oni odwracają od niej oczy.

- Nie jesteś moją Anną - mówi starszy. - Moja Anna miała oczy jak dwie gwiazdki.

- Nie jesteś moją Anną - mówi młodszy. - Moja Anna miała usta jak owoc jarzębiny.

Wraca Anna nad jezioro, nachyla się nad wodą i widzi swoje korale na dnie.

- Tu są twoje korale, Anno - kusi król Beldan. - Pójdź i weź je, a będziesz znów piękna.

I rzuciła się Anna w spienioną toń jeziora.

Odtąd słychać czasem nad jeziorem żaloszny płacz Anny i przeraźliwy chichot czarownicy.

Rybacy wtedy nie wyjeżdżają na połowy, nie zarzucają sieci. Mówią: "Czarownica myje włosy w Beldanach".



## Góra Konopki

(okolice Węgorzewa)

Dawno, bardzo dawno temu żył w Ogonkach karczmarz nazwiskiem Konopka.

Nikt nie pamięta, jak to się stało, że ten uczciwy, pracowity chłop ożenił się z kobietą chciwą, próżną, istną latawicą, co to kłóciła się o byle co, żadnej roboty nie tknęła, tylko do karczmy na tańce pędziła albo po jarmarkach błyskotki kupowała. Stroiła się i bawiła, aż z Konopkowego gospodarstwa pozostały ino gołe ściany w pustej chałupie. Ale jej wszystkiego było mało. "Własną duszę by diabłu sprzedała" - mówili o niej sąsiedzi.

Aż znalazł się bies, co się o jej duszę pokusił. Baba, że to sprytna była i chciwa, tanio jej oddać nie chciała. Zażądała, by do końca życia spełniał bies każde jej życzenie i rozkaz jej każdy bez szemrania wykonywał.

Wyniosła się też zaraz z nędznej lepianki i zamieszkała niby dziedziczka w murowanym dworze. Bogactw tam miała i strojów co niemiara, służby bez liku, a wszystkie jej zachcianki i kaprysy diabeł musiał skrupulatnie wypełniać. Ale wkrótce, z zemsty za swą duszę sprzedaną, tak okrutnie zaczęła dręczyć biesa i gnębić, że nieborak ledwie dychał.

Jednego razu Konopka, któremu przydarzyło się późną nocą do wsi wracać, zauważył na wzgórku jakąś postać. Zatrzymał się zaciekawiony i patrzy.

- Toć mnie chyba oczy nie mylą - mruczy pod nosem - ten człowiek taczkę pcha pod górę i w dół, pod górą i w dół, a na taczce ktoś siedzi, co chwila batem pogania, pokrzykuje...

- Hej, kumotrze! - zawołał zdziwiony. - Cóż ty się tak, u kaduka, mordujesz po nocy?

Nieznamy postawił taczki i w mig znalazł się obok Konopki.

- Ulituj się nade mną, dobry człowieku - mówi kłaniając się nisko. - Pomóż, bo już sił mi brak. Strasznie się męczę. Pomyśl tylko, tak noc w noc, może dziesięć, może dwadzieścia lat muszę tę utrapioną staruchę po górze wozić...

"Oj, nieczysta sprawa! Lepiej się z nim nie zadawać" - pomyślał Konopka. Głośno zaś rzekł:

- Ej, kumotrze, co tam ja, biedny chłop, mogę tobie pomóc?

I naciskając czapkę na uszy, skrzył w kierunku wsi.

- Zlituj się! - woła nieznajomy zastępując mu drogę. Kłania się chłopu do nóg, a skacze w podrygach, aż dudni po drodze jego końskie kopyto.

Oho! - poznał chłop, z kim ma do czynienia.

- Możesz mi pomóc - ciągnął diabeł. - Tyś mądry, dzielny...

- A tyś aż taki głupi? No, ale gadaj wreszcie, o co chodzi? - zaciekawił się.

Diabeł aż koziołka fiknął z radości, złapał chłopu za rękaw, uciszył głos i do ucha mu szepce:

- Widzisz tę babę? Żebyś ty wiedział co to za udręka! Ale już taki z nią układ zawarłem, że służyć mam jej wiernie, póki chodzi po tej ziemi - diabeł aż się zadyszał z pośpiechu. - Dziś już za późno, zaraz kur zapieje, to muszę do piekła

wracać. Ale jutro, posłuchaj: wykopiesz na skraju góry głęboki, głęboki dół i gdy dojadę tam z babą, wywrócę ją, a ty dół przysypiesz i... po wszystkim.

- Hej, diable! Toś wymyślił! - krzyknął ze zgrozą chłop. - Ale nic z tego!

- Ciiicho! - zasyczał diabeł. - Baba słucha!

Baba nie tylko słuchała, ile zmarzła siedząc na taczkach, a i nudno było tak samej. Toteż jak wrzaśnie na diabła:

- A bodajże cię Lucyper sieczką wypchał! A bodajże ci świński ogon przyrósł! A przyjdiesz tu zaraz!

Głos miała donośny, przenikliwy.

Konopka struchlał. Oczy i gębę tylko szeroko ze zdumienia rozwarł. Toć znał ten głos skrzeczący, poznałby go wśród tysięcy! Toć to jego stara! Ta sama, co go ograbiła do szczętu, wymęczyła, wymaltretowała i w końcu uciekła z pustej chaty. Przypomniała mu się jak żywa ta złoźnica, ta latawica, ta czarownica - jak w głębi duszy o niej myślał. Przypomniało mu się, jak to bez litości przepędziła i zziębniętą sierotę, którą do domu przygarnął, i starca kulawego, co prosił o łyk wody... i tego parobka, którego omal na śmierć nie zatłukła, gdy jej się zbyt nisko nie pokłonił, i tych sąsiadów, którym chwili spokoju nie dawała, aż im życie zbrzydło. Po dziś dzień pamiętają jej awantury, a niektórzy i sińce, i zadrapania od jej pazurów wściekłych. Taka to piekielnica była. Ale niedoczekanie jej! Złość go ogarnęła.

- A co za to dasz, gdy ci pomogę? - pyta czarta. - Za darmo pracować nie wypada. Głupi jesteś, ale pewnoś bogaty.

- Mylisz się, bracie - cicho skomląc odpowiada diabeł. - Ja nie taki bogaty. Ale tobie pomogę dorobić się wielkiego bogactwa. Jutro opowiem ci wszystko. Dziś baba nie daje spokoju, toć słyszysz, jak się drze, muszę iść.

Czarownica istotnie na dobre się rozsierdziła, aż diabeł dopadł taczki i z dziką furią biegać zaczął po górze.

Konopka tymczasem usiadł przy drodze, przyglądał się tej dziwacznej parze, a im więcej wspominał, tym większy go gniew na babę ogarniał.

Wkrótce niebo na horyzoncie zaczęło jaśnieć. W pobliskiej wiosce zapał kur. Jeden, potem drugi.

Chłopa ciarki obeszyły. Znikł gdzieś ze wzgórza diabeł z taczkami i czarownicą...

Przez cały następny dzień Konopka chodził półprzytomny. Ciągłe myślał o swojej nocnej przygodzie, zastanawiał się, czy to był sen, czy jawa.

Wtem coś za nim zaszeleściło.

- Poznajesz mnie? - rzecze pokornie diabeł. - To ja, umówiliśmy się przecież dzisiejszej nocy. Musimy się naradzić. Powiem ci, co trzeba zrobić...

- To już wiem, mówiłeś. Teraz mów, co za to dasz.

- Posłuchaj - na to diabeł - pójdę do zamku w Węgorzewie i tak będę straszył, że szczury pouciekają. Ty zgłosisz się wtedy do rządcy, powiesz, że diabła wypędzisz, ale zażadasz za to sto talarów. Ja wtedy ucieknę z Węgorzewa i pójdę do Sztynortu. Ty i tam się zgłosisz, a za wypędzenie mnie już dwieście talarów zażadasz. Na tym koniec naszej współpracy i kwita. Więcej mi w drogę nie wchodź. Bo jak jeszcze raz mnie zaczepisz, dusza twoja do mnie należeć będzie na wieki. Pamiętaj!

I grożąc chłopu palcem, znikł w pobliskich zaroślach.

Konopce propozycja diabła niezmiernie przypadła do gustu.

Wieczorem złapał łopatę i poszedł na umówione miejsce. Wykopał głęboki, głęboki dół, potem schował się w najbliższy krzak. Była ciemna noc. Księżyc tylko od czasu do czasu wyglądał zza gęstych chmur, a silny wiatr hulał po mazurskiej ziemi, zrywając ostatnie pożółkłe liście z drzew i krzewów.

Chłop, przykucnięty pod krzakiem, drżał z zimna, a może i ze strachu? Siedział i czekał na diabła - a tu nic, tylko pusta noc. Jedyńm towarzyszem był mu zawodzący wiatr. Już zamierzał wracać do domu, gdy nagle z góry z یشcie diabelskim chichotem bies z czarownicą leci. Dobiegłszy do dołu z przeraźliwym śmiechem przewrócił taczkę, babę wrzucił w głąb i fikając koziołka zniknął w pobliskim lesie.

Niedługo potem w zamku węgorzewskim zaczęły dziać się straszne rzeczy: drzwi same się otwierały i zamykały z trzaskiem, w kominie slychać było wycie i przeraźliwy chichot. Rycerze w misach zamiast jadła znajdowali krew, a krzesła z siedzącymi nań gośćmi wirowały po salach jak szalone.

Konopka zgłosił się do zamku i oświadczył, że za cenę stu talarów gotów jest złe odpędzić.

Rzeczywiście nie upłynęło dwa dni, a diabeł opuścił zamek; jeno nie drzwiami. Wydarł dziurę w murze i tą dziurą rycząc, wyleciał na świat.

Chłop otrzymał sto talarów, w dodatku na własność dzierzawioną karczmę z przyległą włóką ziemi.

W kilka dni potem strach ogarnął ludzi w Sztynorcie. W zamku diabeł wyprawiał niesamowite harce. Gdy tylko zegar wybijał północ, po komnatach rozlegał się brzęk łańcuchów, szczęk broni, jęki ludzkie. Obiecano wysoką nagrodę temu, kto wypędzi diabła i zażegna strachy. Konopka i tu się zgłosił jako wybawca.

I tu wrócił ład i spokój, a chłop otrzymał w nagrodę dwieście talarów w złocie. Powiększył swoje gospodarstwo, zakupił bydła, postawił nową szopę, a i żonę sobie wziął robotną i wesołą. Spokojnie i bez trudu myślał swój żywot zakończyć.

Ale nie znał diabła.

Ten nie mógł darować, że tak tanim kosztem zrezygnował z duszy ludzkiej. Bo i cóż z tego, że pozbył się czarownicy - przecież jego zadaniem było chwywanie dusz. A ten Mazur taki chciwy był na grosz - może by jeszcze raz skusić chłopca?...

Po pewnym czasie na Mazury doszła wieść, że w zamku berlińskim straszny. Wyznaczono wielką nagrodę temu, kto potrafi wypędzić diabła.

Dla Konopki zaczęło się istne utrapienie. Sąsiedzi, jak to sąsiedzi: jedni doradzali wyjazd do Berlina, drudzy odradzali. Gorzej było z białką. Kobieta zasmakowała dobrobytu, od rana do wieczora jęła chłopca prosić i molestować, by jechał do Berlina. Wierzyła w swej naiwności, że mąż jej tak mocny jest, że zawsze zło pokonać potrafi, a o diabelskich układach nic nie wiedziała.

Wreszcie pan ze Sztynortu, chcąc się królowi przypodobać, pewnego dnia zajechał karetą przed karczmę, kazał Konopce w drogę się szykować do dalekiego

Berlina. Ten rad nierad zapakował tobołek z jedzeniem, pożegnał żonę i ze smutkiem oświadczył, że jedzie na pewną zgubę, że już go więcej oglądać nie będą.

Po kilku tygodniach zajechał do Berlina, wprost pod zamek królewski. Konopka ledwie żył ze strachu. Dobrze przecież pamiętał groźbę diabła i pewien był, że zginie w piekle. Złorzeczył panu, który siedział w powozie rozparty i zadowolony z siebie, że na taki wpadł pomysł.

W zamku przedstawił pan Konopkę jako wybawcę od wszelkich czartów i strachów, zostali więc przywitani radośnie i suto ugoszczeni. Służba przyciszonym głosem ją opowiadać o strachach, o diabelskich wyczynach, że już nie do wytrzymania, ale widząc zafrasowanego chłopca, zaraz pod niebiosa ją wychwalać hojność króla. A że możny i bogaty, to pewno talarów nie pożałuje, byle tylko pozbyć się utrapienia.

Wysoka nagroda zaczęła chłopca nawet ńęcić. A nuż się uda diabłu i stąd wypędzić? Nie zapomniał zabrać ze sobą dużej flaszki święconej wody - toć przed nią sam Lucyper ucieka.

Od służby zamkowej wyprosił kilka dni na przygotowania i kazał wieść się do gospody.

Nazajutrz wybrał się na miasto. Gdy zafrasowany wałęsał się po ulicach, spotkał nieoczekiwanie kobietę tak podobną do tamtej czarownicy z Ogonków, że w pierwszej chwili przeraził się nie na żarty. Potem myśl chytra błyskawicznie przeleciała mu przez głowę. Podszedł do nieznajomej i zaczął z nią przyjacielską pogawędkę. Dowiedział się przy tym, gdzie mieszka i jak się nazywa. A w zamku oświadczył, że aby wypędzić diabła, potrzebna mu jest ta właśnie kobieta. Natychmiast wysłano karetę, a gdy przestraszona kobieta przyjechała, Konopka zaprosił ją do suto zastawionego stołu i przypijając dobrym winem, do północy bawił ją opowiadaniem.

Gdy zegar zamkowy wybił godzinę dwunastą, na schodach dały się słyszeć głośne kroki i straszliwe wrzaski nadchodzącego czarta. Śmiech diabelski rozlegał się po długich, ciemnych korytarzach zamkowych, a końskie kopyto dudniło po kamiennej posadzce. Nagle drzwi się rozwarły i diabeł wpadł do sali, w której siedział Konopka. Mazur nie tracąc rezonu poderwał się i wskazując na kobietę zawołał:

- Masz tu z powrotem tę twoją czarownicę, cha, cha, cha, cha!

W Kusego jakby piorun uderzył. Spojrzał na Konopkę niedowierzając, zerknął na babę przestraszony, potem cofając się w głąb korytarza zaskomlał:

- Konopka, zlituj się! Weź ją, proszę! Ja stąd pójdę i więcej straszyć nie będę, tylko bierz ją, bieeerz!!!

- To czmychaj, a chyżo! - zawołał Konopka i wydobywszy z kieszeni flaszkę, lunął na diabła święconą wodą.

Diabeł tylko kopytem o posadzkę zadzwonił i dopadłszy komina znikł w nim bez śladu, a silny śwąd smoły, co rozszedł się po całym zamku, świadczył o wielkim pośpiechu, z jakim umykał.

Konopka zamknął drzwi i ledwie żywą ze strachu kobietę podprowadził do krzesła.

Wygrał po raz trzeci.

Wkrótce rodzina królewska powróciła na zamek. Konopka do Ogonków. W nagrodę za wypędzenie diabła otrzymał mnóstwo podarków: od królowej wielką złotą broszkę z czerwonym rubinem, srebrną tabakierę i dużo pięknych rzeczy. Co od króla otrzymał, chytry chłop nikomu nie powiedział, a musiało być tego sporo, bo kupił sobie duży kawał ziemi razem z górą, która jemu tyle szczęścia przyniosła. Na górze pobudował piękny zamek i pisał się Konopkowski. Dzieci ponoć wszystkie bogato wyżenił, doczekał się wnuków i prawnuków.

Mijały wieki.

Ziemie mazurską nawiedziły wojny, mór i klęski. Po zamku Konopki dziś nie ma śladu. Została tylko góra, a starzy ludzie w okolicach Węgorzewa w długie zimowe wieczory opowiadają baśń o Konopce - czyli o tym, jak sprytny Mazur przechrzył diabła.

## Góra Tatarska

(okolice Elku)

Było to bardzo dawno temu. Najstarsi ludzie całą tę legendę od dziadów swoich zapamiętali; słuchano jej w długie wieczory przy ogniu, piekąc ziemniaki, drąc pierze na poduchy i pierzyny. Starzy ludzie powiadają, że Ziemia Mazurska była wówczas pod panowaniem książąt niemieckich, którzy lud mazurski podatkami gnębili, wymyślając wciąż nowe daniny. Do tego jeno zmiierzali, by się jak najwięcej wzbogacić, a jednocześnie, by Mazurów z ziem tych wypędzić i na ich miejsce swoich ludzi sprowadzić.

Ale twardy był chłop mazurski, choć go mory rozliczne dziesiątkowały, choć samowola panów chleba go pozbawiła, choć ani ryb łowić nie można było, ani nawet na dobrego zwierza polować. Trzymał się Mazur pazurami ojcowskiego gruntu w tym całą nadzieję pokładając, iż kiedyś niemieckie panowanie skończy się i ta ziemia przez lud polski zamieszkała, do Polski zostanie przyłączona.

Aliści ciężkie przyszły na Rzeczpospolitą czasy, tak ciężkie, iż się wszystkim Mazurom wydawało, że ostatnie wybawienie ich ginie na zawsze. Oto z dalekich stron Szwed zdobyłszy chciwy przybył i całą - ci Polskę, przy pomocy magnaterii i karmazynów polskich zajął. A ze Szwedem szedł także ów książę pruski, co Mazurami władał.

Pewnego dnia zaczęła się wśród ludu wieść rozchodzić zgoła nieprawdopodobna. Oto pod Prostkami, o mil trzy niespełna do Łęku, na granicy Prus Książęcych i Korony leżącymi, bitwa się między Polakami i Szwedy rozegrała walna, w której to Szwedzi srodze porażeni tyl sromotnie podali, aż do swojej krainy uciekając. Cieszyli się Mazurowie, choć jeszcze uszom własnym nie wierzyli. Bo skoro Szwedzi pobici - to i ich pan, książę Fryderyk także, a skoro tak, to może już nadszedł ów czas z dawna upragniony, że się Polacy o swych braci znad jezior

mazurskich upomną. Po dniu radosnym noc przysła spokojna, cicha, bezwietrzna i spokój wróżąca. Księżyc, powoli po niebie wędrując, przeglądał się w taflach jezior jak w zwierciadłach. We wsiach uśpionych jeno psy szczekały i wyły, pyski ku niebu podnosząc. Lecz nikt nie szukał w tym wyciu złej wróżby, na psią naturę wszystko odkładając.

Aż nagle... Czy dzień już wschodzi? Nie! Za wcześnie jeszcze na wschód słońca, ledwie - ci przecie kury trzecie piaty. Więc skąd te blaski na niebie czerwone? Skąd łuna taka od wschodu idąca? Pożar! Gore! Gore! - wołają liczne głosy, a serce ścisnęło przeczucie okropne. Oto i z drugiej strony już się łuna jawi. Nowym wciąż ogniem ziemia bucha, coraz to bliżej snopy iskier i słupy ognia ku niebu strzelają. Kobiety z dziećmi i z całym dobytkiem po lasach kryjąc, chłopci sami we wsiach pozostawali, by, jeśli mała chęsa wroga przyjdzie - bronić chudoby i wsi od spalenia. Takiego wojska, jakie się pokazało, nikt z nich jeszcze nie widział. Na małych konikach jak duchy biegli szybko ze wszystkich stron, a gdy się do wsi przybliżyli, runęli z wrzaskiem wielkim na sadybę. I nim się chłopci opatrzeć zdążyli, nim pomyśleli o swoim ratunku, już byli w pętach, już im szyje gniotły pętlice sznurów z daleka rzucane, niby na bydło lub na dzikie konie.

Nie to się przecież najstraszniejszym zdało. Chłopci przywykli, że gdy walczą pany, im się najwięcej przy tym dostaje. Lecz wszyscy zawsze ludzkim językiem mówili. Wszak znali niektórzy niemiecką mowę, ba, i ze Szwedem się dogadywali, i z Żydem i z Francuzem, ale ci jeźdźcy w skóry baranie odziani, tak jakoś dziwnie do siebie mówili, że nikt się w owej mowie wyrozumieć nie mógł. Aż wreszcie, gdy któryś po rusku zagadał - poznali Mazurzy kto ich wziął w niewolę. I jeszcze większy strach ogarnął wszystkich.

Tatary! Tatary! - szedł wśród szeregów jenieckich szept straszny a groźny, dawne, pradawne czasy przypominający, gdy hen, nad Wisłą przodkowie Mazurów walczyli z owym ludem na wpół dzikim. Lecz skąd Tatarzy na Mazurach? Wszak to Szwedzi w Polsce wojowali? Nijak nie mogli pojąć tego Mazurowie. A ordyńcy tymczasem wieś całą złupiwszy, zabrawszy wszystko - co się zabrać dało, co starszych ludzi na miejscu mordując, wieś z czterech stron podpalili. Patrzyli chłop zgrozą, jak płonął cały ich dorobek. Ten i ów łzę kułakiem ukradkiem ocierał tę jedną mając w duchu nadzieję, że choć rodzina w lasach skryta, wróci tu kiedyś, aby gospodarzyć. O swoim powrocie i marzyć nie śmieli, każdy się bowiem nasłuchiwał za młodu, że kiej Tatary kogo wezmą w jasyr, to go daleko na skraj świata pędzą, skąd i powrotu nie masz, bo życia na drogę powrotną nie stanie.

Nie dali Tatarzy rozmyślać zbyt długo. Tłum cały jeńców do kupy spędziwszy otoczyli czambułem i pognali nahaja nie szczędząc. Mila za milą włókl się długi pochód.

Słońce swą dzienną wędrowkę skończywszy szło na spoczynek, kiedy się wreszcie w podległym Łęku zatrzymał czambuł na samotnej górze. Tu jeńców mocniej na noc przywiązawszy, legli Tatarzy przy licznych ogniskach. Wkrótce też wszyscy, jeńcy i zdobywcy, znużeni drogą, całodziennym znojem posnęli twardo. A że kraj

zdobyty żadnych się zdawał nie przedstawiać niebezpieczeństw - wkrótce po wszystkich zasnęły i straże.

Ognie pogasły i ciemność zaległa tym większa, że po wczorajszej księżycowej nocy - dzisiaj ciemna była, chmurami nawisła.

Nagle... Co to? Czy duchy nocą z mogił powstające z różnych stron góry jęły się pojawiać? Czy może to cienie jakieś bezcielesne bo tak cicho suną, że się jeden Tatar nie przebudził?

Kimkolwiek były owe dziwne zjawy - minęły straże i obóz Tatarów i wszedłszy między powiązanych jeńców - zaczęły się schylać nad nimi bez słowa. Ten i ów z jeńców chciał krzyknąć ze strachu, gdy go zniecka ze snu wyrwano, ale poczawszy, że te dziwne zjawy pęta im z ramion i nóg odejmują - zamilkł i cichcem zaczął rozwiązywać węzły na swoim najbliższym sąsiedzie.

Nikt się słowem nie odezwał nawet i nikt nie pytał, skąd wolność przychodzi. Czy dobre duchy, czy złe ją przynoszą?... A kiedy wszyscy już się uwolnili i cicho minęli rozespane straże, w szumie deszczu, który właśnie lunął, biegiem zaczęli uciekać na północ. A wraz z chłopami biegły cienie owe, co ich od więzów wyzwoliły. Ulewa rosła a wraz z nią nadzieje, że woda zmyje ślady nadchodzących, zanim świt nadejdzie, chłopci już będą daleko od góry, skryci w ostępach leśnych i mokradłach.

Ledwie strach minął - zbudziła się ciekawość, kim są nieznanymi wyswobodziciele, którzy, nie bacząc na wrogie zastępy, śmieli wejść w środek wrogiego obozu, aby uwolnić ich, mazurskich chłopów. Wtem błyskawica przeorała chmury ostrym blaskiem, ujrzeni zdumieni, że obok ich idą... kobiety! Oczom nie wierzą? Jakże to możliwe? Lecz oto druga błyskawica rozjaśniła niebo. Nie, to omamienie. Zaiste kobietom zawdzięczają wolność!

To żony, córki i matki Mazurów, ujrawszy mężczyzn w tatarskiej niewoli, rzuciły swoje bezpieczne schronienie. I idąc tropem smutnego orszaku, doszły pod górę, gdzie chłopów więziono.

Któż opisze radość i dumę chłopów z tego, że wolność zawdzięczają kobietom, które miłością wiedzione zdołały wroga przechytrzyć i lęk płci swojej właściwy przezwyciężyć - w samo gardło wroga za swymi umiłowanymi się wdarty. Na pamiątkę tamtych wydarzeń górę pod Elkiem zwą Tatarską Górą.

## Jak powstało jezioro Śniardwy

Powiadają ludzie, że dawno, dawno temu żył sobie biedny parobek Maciej z żoną Jagną. Byli oni bardzo biedni, a jedyną ich uciechą była córeczka Śniardwa. Maciej chodził do roboty we dworze, a Jagna zajmowała się domem i wychowaniem córki. I tak życie płynęło im spokojnie i monotonna. Upłynęły lata, a w rodzinie nic się nie zmieniło - jedynie Śniardwa wydorosła i wypiękniała. Usta miała kalinowe, włosy jak skrzydła krucze, oczy jak krynice przejrzyste.

Dziewczyna miała już prawie siedemnaście lat i czas było ją wydać za mąż. I to Macieja i Jagnę najbardziej smuciło, no bo kto zechce biedną dziewczynę, która

ma jedną sukienkę i parę butów. Jednak Śniardwa nie przejmowała się tym wcale, dalej chodziła na spacer do lasu i na wzgórze.

Pewnego razu, kiedy wybrała się do lasu, usłyszała tętent konia, a niedługo potem ujrzała jeźdźcę, był to syn pana dworu, Janek, piękny i przystojny młodzieniec.

- Dzień dobry, śliczna dziewczeczko - rzekł na powitanie - dokąd tak sama?

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, spuściła tylko oczy i chciała już iść dalej, kiedy on rzekł:

- Zaczekaj jeszcze chwilę.

Stanęła posłusznie i przelotnie spojrzała na jego twarz, na której ujrzała przyjazny uśmiech.

- Ja, ja już sobie pójdę - rzekła zawstydzona i pobiegła w stronę chaty.

Kilka dni później znów spotkała Janka i od tego dnia zrodziła się między nimi wielka przyjaźń, która później przeobraziła się w miłość.

Odkąd poznała Janka stała się weselsza i jakby piękniejsza.

Miłość ich jednak nie trwała długo, bo na kraj napadły wojska złego sąsiada i rozgorzała wojna. Ukochany Śniardwy zginął i tylko wilki i niedźwiedzie rozwłoczyły jego kości po lasach, Śniardwa chodziła do lasu lub na wzgórze i tam wyżałała się nad swoim biednym losem, a łzy z jej oczu tworzyły wciąż większą kałużę, aż wreszcie powstało wielkie jezioro, które nazwano od imienia dziewczyny Śniardwami, a ona sama skamieniała z bólu i rozpaczy.

## Jak powstał klasztor Kamedułów we wsi Wigry

Ongiś w miejscu, gdzie teraz jest Wigry, szumieli wielkie, stare i bardzo ładne lasy. Król litewski Kazimierz często odwiedzał te strony polując na lwy, zajęcy i lisy. Raz podczas takich łowów oddalił się od swej drużyny i zabłądził. Długo chodził po puszczy podziwiając jej piękność. Albo i było co podziwiać. Naraz Jego Królewska Mość naszedł dwóch Litwinów, które tutaj pokutowali. Litwiny te dawno już ludzie nie widzieli, więc ujrawszy człowieka poczęli wołać: "wirej, wirej!". Kazimierz na pamiątkę tego spotkania założył tutaj klasztor Kamedułów, sprowadził księży i zakonników. A osada została nazwana Wigry od "wirej".

## Legenda o diamentowym pierścieniu (jezioro Tałckie)

Żył kiedyś w Mikołajkach młody i piękny rybak imieniem Eryk. Niejedna dziewczyna wydeptała ziemię na brzegu jeziora, czekając na jego powrót. A że był dobry i uczynny, lubili go wszyscy. Najbardziej jednak lubiła go jasnowłosa Maryjka i z nią chętnie się spotykał. Chodzili oboje nad wodę trzymając się za ręce i marzyli o przyszłości.



Pewnego razu Eryk pojechał na połów i długo nie wracał. Zaszło już słońce nad Tałckim Jeziorem, pociemniał las na drugim brzegu, zaśpiewały w krzakach słowiki, wzeszedł księżyc. Na brzegu czeka matka Eryka i czeka Maryjka. Nie doczekały się jego powrotu.

- Wróci jutro - pocieszali rybacy matkę i dziewczynę. - Na pewno wróci jutro, bo wybrał się daleko. A może zasnął i obudzi go dopiero wstające słońce?

Lecz nadszedł ranek, ostygło mleko, które matka zagrzała dla syna, a on nie wracał.

Nadeszło popołudnie, wystygł obiad, a Eryka nie widać.

Nadszedł wieczór, aż noc odebrała nadzieję na jego powrót.

Przeszukiwali rybacy Tałckie Jezioro, przeszukiwali Tałckie Bagno - na próżno. Zginął ślad po Eryku, został żal w sercu dziewczyny. O zmroku stawała nad brzegiem jeziora i czekała. Daremnie.

Poszła więc Maryjka na Łęgi Mikołajskie, gdzie mieszkała czarownica.

- Pomóż mi - prosi. - Powiedz, co się stało z Erykiem. Czy nigdy już nie wróci?

Czarownica nawarzyła ziół, pochyliła się nad wrzątkiem, wyszeptwała zaklęcie, spojrzała do czarodziejskiego zwierciadła.

- Wróci, ale musisz za to dać to, czego jeszcze nie masz, a co ci się będzie bardzo podobać.

- Wszystko oddam! - zawołała Maryjka. - Powiedz tylko, co mam zrobić?

- Pójdiesz w nocy nad jezioro, kiedy księżyc wjeździe srebrny, i trzy razy pokłoniś się wodzie, drzewom, księżycowi. Potem zamkniesz oczy i zawołasz jego imię.

- Dzięki ci - powiedziała Maryjka. - Będę teraz czekać nocy jak najmilszej przyjaciółki.

Nadeszła noc i wzeszedł księżyc. Stała Maryjka nad jeziorem i zrobiła tak, jak nakazywała czarownica. Potem zawołała Eryka. Stał przed nią i ujął ją za rękę.

- Czy wracamy do domu? - spytała.

Zaprzeczył.

- Czy idziemy na drugi brzeg jeziora?

Zaprzeczył.

- A więc dokąd mnie prowadzisz, Eryku? Nigdy tu jeszcze nie byłam. Wokoło jest ciemno i wkrótce gwiazdy znikną. Dlaczego nic nie mówisz, Eryku?

- Czy mnie kochasz, Maryjko? - spytał.

- Dlaczego o to pytasz, Eryku? Wiesz, że cię kocham. Nie było dnia, abym o tobie nie pomyślała. Wszystko oddałabym, żebyś tylko do mnie wrócił! Ale... co to za dziwna pieśń? Kto to śpiewa?

- Słyszysz tę pieśń, Maryjko? Piękna jest, ale i niebezpieczna. To ona mnie tu przyprowadziła. Śpiewają ją wodnice królowej jezior. Zamknij teraz oczy i otwórz je dopiero wtedy, kiedy dam ci znać.

Zamknęła oczy Maryjka, a gdy je znowu otworzyła, ujrzała królową jezior siedzącą na tronie w otoczeniu panien wodnych. Na ich powiewnych sukniach

iskrzyły się kolorowe klejnoty, w ich rękach rozkwitały kielichy nenufarów. Ich długie włosy powiewały, jakby je fala płała.

- Zbliż się - powiedziała królowa do Maryjki.

A gdy dziewczyna podeszła, królowa włożyła na jej palec diamentowy pierścień.

Od diamentu bił taki blask, że Maryjce pociemniało w oczach. Przymknęła powieki, a gdy je otworzyła, nie było przy niej nikogo. Stała sama nad brzegiem jeziora.

- Eryku, gdzie jesteś? - zawołała.

Nikt nie odpowiedział, tylko z głębi jeziora usłyszała śpiew cudny, jakiego dotąd nigdy nie słyszała:

Diamentowy pierścień na palcu dziewczyny -  
nie upłyną trzy wieczory, wróci do głębin...

Maryjka spojrzała na diamentowy pierścień i serce zabiło jej w piersi. Oto ma skarb, jakiego nikt nie miał na świecie. Diamentowy pierścień królowej jezior!

- Czy to już dzień? - zapytała matka, gdy blask diamentu rozświetlił izbę.

- Śpij, matko - odpowiedziała Maryjka obracając pierścień na palcu. - To księżyc zajrzał do okna.

- Powiedz, czemu się tak radujesz, moja córko - spytała nazajutrz matka. - Czyżby Eryk wrócił?

- Śniłam, że zostałam królową, matko, i wszystkie dziewczęta mi zazdrościły.

- Zapomnij o tym śnie, moja córko.

- Jakże mogę zapomnieć, kiedy noszę na palcu najpiękniejszy pierścień?

- Skąd go masz? - spytała matka. - Zły to skarb, jeśli za jego przyczyną zapomniałas o Eryku. Rzuć go do jeziora, bo więcej ci smutku przyniesie niż radości.

- Popatrz tylko, matko!

- Co to, Maryjko? - zawołała matka. - Jest mi teraz ciemno w oczach i nawet ciebie nie widzę.

- Oślepił cię blask pierścienia, który otrzymałam od królowej jezior. To od jego blasku pociemniało ci w oczach.

- Słyszysz twój głos, lecz nie widzę ciebie, nie widzę słońca, nic nie widzę dokoła... Daj mi ten pierścień, wrzucę go do jeziora. On przynosi nieszczęście.

- Ten pierścień, matko, spełni każde życzenie. Chcę się nim nacieszyć, matko!

Pobiegła Maryjka na Tałckie Bagno, gdzie mieszkała czarownica.

- Tak, masz pierścień, jakiego nikt nie oglądał - powiedziała czarownica. - Teraz każde twoje życzenie może się spełnić.

- Jakim sposobem?

- Pójdiesz w nocy nad jezioro, kiedy księżyc wzejdzie srebrny, i trzy razy się pokłonisz wodzie, drzewom, księżycowi. Potem zamkniesz oczy i powiesz swoje życzenie.

- Śniłam tej nocy, że zostałam królową.

- A Eryk? - spytała czarownica. - Czy o nim zapomniałas?

- Siedziałam na wspaniałym tronie, a na moim palcu lśnił pierścień z diamentem...  
- A matka? - spytała czarownica. - Chodzi teraz brzegiem jeziora, podpira się łaską i szuka ciebie. Czy o matce zapomniałaś? Jeszcze nie skamieniało twoje serce i jeszcze dziś możesz wyzwolić Eryka z zaklęcia królowej jezior, a twoja matka znów ujrzy słońce.

- Jeszcze tylko do wieczora zatrzymam go przy sobie.

Nadszedł wieczór i na niebie wzeszedł srebrny księżyc. Stała Maryjka nad brzegiem jeziora, tam gdzie las i księżyc odbijały się w wodzie. Pokłoniła się im trzy razy. I usłyszała głos dobiegający z głębin jeziora:

- Powiedz, czego pragniesz... - A zdawało jej się, że to głos matki.

Po chwili usłyszała znowu:

- Powiedz, czego pragniesz... - A zdawało się jej, że słyszy głos Eryka.

I po raz trzeci usłyszała:

- Powiedz, czego pragniesz. Czy chcesz być królową?... - A to był głos królowej jezior.

- Tak! - wykrzyknęła Maryjka i rzuciła pierścień do wody.

Spadając, zajaśniał takim blaskiem, że Maryjce pociemniało w oczach. A gdy je otworzyła, ujrzała, że siedzi na tronie, z koroną na głowie, w ręku trzyma berło, na palcu znów błyszczy pierścień diamentowy.

- Królowo - mówi do niej marszałek dworu - u bram pałacu czeka młody rybak, który chce cię prosić o łaskę.

- Wprowadź go.

Po chwili do komnaty wszedł młody rybak.

- Kim jesteś i czego chcesz? - pyta Maryjka.

- Jestem rybakiem, a przychodzę do ciebie królowo, żeby poskarżyć się na dziewczynę, którą kochałem. Za moją przyczyną otrzymała diamentowy pierścień i mogła mnie wyzwolić z głębin jeziora. Ale nie uczyniła tego...

- Jakiej kary żądasz dla niej?

- Ty sama, królowo, wyrok na nią wydaj.

- Królowo - kłania się marszałek dworu - u bram pałacu stoi stara kobieta, która pragnie cię prosić o łaskę.

- Wprowadź ją.

- Jestem ślepa i nie widzę cię, pani - odzywa się stara kobieta. - Przyszłam jednak, aby poskarżyć się na niewdzięczną córkę.

- Cóż ci uczyniła?

- Była piękna i dobra, ale otrzymała pierścień od królowej jezior i skamieniało jej serce. Zapomniała o swoim chłopcu, a mnie, starą i ślepa opuściła...

- Jakiej kary żądasz dla niej?

- Ty sama osądź ją, królowo.

- Zaprawdę, kamienne serce musiała mieć twoja córka, jeśli matkę opuściła i zapomniała swego miłego. Niechże więc zamieni się w kamień!

I naraz kamienne mury zamku rozpadły się, a do stóp starej matki i młodego rybaka potoczył się głaz, kształtem przypominający kobietę.

Stoi on dotąd przy drodze, niedaleko Wejsun, a ludzie od wieków nazywają go Kamienną Babą.

A pierścień? Spoczywa nadal na dnie Jeziora Tałckiego i czasem błyszczy takim blaskiem, aż w oczach robi się ciemno.

## O Pięknej Górze

(okolice Gołdapi)

Bardzo dawno temu, tu gdzie dziś wznoszą się strzeliste szczyty gołdapskiej góry, stał wspaniały zamek o wysmukłych gotyckich wieżach otoczony potężnym murem kamiennym i głębokimi fosami. W zamku tym żył król z królową i królewną, której uroda znana była na całych wielkich Mazurach.

Pewnego razu zobaczył królewnę potężny czarodziej, władca dalekiego kraju. Spodobała mu się śliczna jasnowłosa dziewczyna, w której oczach zastygła toń lazurowych mazurskich jezior, a w cerze śnieżysta biel łabędziego puchu. Przybył on na zamek i poprosił króla według ówczesnego zwyczaju, o rękę jedynej córki. Ojciec, który znał czarodzieja i wiedział o czarnoksiężskiej mocy, zgodził się na małżeństwo, byle tylko uniknąć jego straszliwego gniewu. Królewna jednak za nic w świecie nie chciała wyjść za starego okrutnego księcia i odmówiła mu swej ręki. Czarownik zawrzał straszliwym gniewem i dysząc zemstą wybiegł z zamku. Wtedy nad ziemią zapadła czarna noc, a była to noc świętego Jana. Z dala, zza Puszczy Romnickiej, nadszły potężne skłębione chmury i nad zamkiem rozszalała się burza. Wśród piekielnego huku i chichotu, wśród bicia gromów i błyskawic, ziemia rozstała się i zamek z łoskotem i świstem zapadł się w jej głębiny. Wraz z zamkiem zapadła się pod ziemię królewna, a razem z nią dwór i bogactwo. Tylko rodzice, jakąś niewidzialną siłą, zostali wypchnięci z zamku i uszli z życiem. Ziemia zamknęła się nad nieszczęsną królewną, a wichry z dalekich stron naniósły na to miejsce zwały piasku i kamieni, usypując z nich górę, która od pięknej królewny do dziś nazywa się "Piękną Górą".

Od owej chwili, co roku w noc świętojańską, gdy zegary wybiją godzinę dwunastą, otwiera się na szczycie góry tajemne wejście do podziemnych lochów strzeżonych przez złe duchy i niewidzialne potwory. W ostatnim lochu, zakłętą przed laty królewna, czeka na śmiałka, który przyjdzie i wybawi ją z zaklęcia.

Podanie głosi, że wielu już było takich rycerzy, którzy próbowali dostać się do wnętrza góry. Żaden z nich nie wytrzymał jednak, gdyż porywając królewnę, obejrzał się na pędzące go straszdyła. Leżą oni teraz wszyscy po południowej stronie góry, zamienieni w wielkie wrosnięte w ziemię glazy i podobnie jak królewna w podziemnym zamku - czekają swego wybawiciela.

## O zaklętych skarbach na Jeziorze Białym

Dawno, dawno temu, niedaleko Jeziora Białego podobno stał kościół. Kościół ten zapadł się pod ziemię razem z ludźmi, którzy w tym czasie w nim się modlili.

Po setkach lat, w niedzielę, rybacy zapuścili sieci w jeziorze. Było to w samo południe. Zaczęli wydobywać z wody coś bardzo ciężkiego. Jeden z rybaków zaklął, bo gdy ciężar był już blisko powierzchni coś z brzękiem zapadło się w głębinę. Były to dzwony. Rybacy zaprzestali połowu i zawrócili do domu.

W następną niedzielę wybrał się nad Jezioro Białe ten sam rybak, który zaklął. Był on sam, bez innych towarzyszy. Nagle na środku jeziora z wody wyłynęła piękna dziewczica, a zobaczywszy rybaka na jeziorze zaczęła mu robić wymówki, że przeklinał. - "Gdybyś - mówiła - nie zaklął, byłbyś wszystkich zatopionych zbawił, a teraz sam zginiesz, jeśli cię jeszcze raz na jeziorze zobaczę". - Powiedziawszy te słowa zniknęła. Rybak też zawrócił do domu.

W najbliższą niedzielę rybak nie bojąc się groźby dziewczicy wyłynął na jezioro. Zaledwie znalazł się na środku, znów ukazała się dziewczica. Wyrzekła tylko - Ty tu? - I pociągnęła go za sobą w głębinę, gdzie zniknęli oboje.

Od tego czasu nikt nie próbował wyciągnąć dzwonów z głębin Jeziora Białego.

## O założeniu Augustowa

O początkach miasta nad Nettą mówi nawet wierszyk: "Przed dawnymi bardzo laty król zabłąkał się gdzieś w lesie. I nad rzeką Nettą stanął mówiąc:

"Miasto tu się wzniesie.  
A ponieważ nazywają  
mnie Augustem - królem wszędzie.  
Miasto nazwę Augustowem  
To królewskie miasto będzie".

Przed wieloma laty król Polski - Zygmunt August wybrał się do puszczy na łowy. Ujrawszy pięknego jelenia o rozłożystym porożu pomknął w trop za nim. Nagle jeleni wskoczył w gąszcz, a król spostrzegł, że odłączył się od świty. Oczarowany widokami kniei błądził w poszukiwaniu ludzkiej osady.

Kiedy tak krążył, zobaczył, że zaczęło zmierzchać. Puszczyki pohukiwały, a drzewa zaczęły przeobrażać się, przybierać nieprawdopodobne kształty. Czarne, złowieszcze chmury zbierały się nad borem. Wzmagał się wicher. Pierwsze krople deszczu zapowiadające ulewę zaczęły spadać na królewskie szaty. Nagle między drzewami zabłyśło światelko. Najpierw jedno, potem drugie...

Uradowany król spał konia i galopem puścił się naprzód. Niespodziewaną radość zmaćła przeszkoda, jaką były spienione nurty rzeki Netty. Na królewskim czole pojawiła się zmarszczka frasunku, ale na krótko. Bo w oddali władca ujrzał niewielki mosteczek. Skierował nań pięknego rumaka i przejechawszy na drugą stronę zastukał do pierwszej chaty. Drzwi otworzyły się i na progu stanął wieśniak. Ujrawszy gościa - możnego pana - zaprosił go w głąb izby ze słowami: - Czym chata bogata - i poprowadził go do stołu, przy którym wieczerzała rodzina. Po kolacji gospodarz położył pana do snu i przykrył niedźwiedzimi skórami.

O świtaniu do drzwi zastukali dworzanie, którzy całą noc spędzili na poszu-

kiwaniu najjaśniejszego pana. Król, wskoczywszy na konia, zapytał o nazwę wsi, w której doznał pieczołowitej opieki. Wieśniak odrzekł: - Toć to Mostki panie. - Na to król rzekł: - Ja, król Polski - Zygmunt August, syn Zygmunta Starego, od dzisiejszego pamiętnego dnia Anno Domini 1557 r. gwoli zadośćuczynienia za okazane serce, wieśniakowi imieniem Maćko nadaję szlachectwo i herb, a wioskę Mostki czynię miastem, które zwać się odtąd będzie moim imieniem Augustów. Niech zawsze będzie stolicą jezior, lasów i zwierzyny. To powiedziawszy ruszył naprzód, ku stolicy. Czas jak nurty rzeki Netty płynął naprzód. Powstały gród zaczął tętnić życiem, rozwijać się. I dziś zgodnie z życzeniem króla jest stolicą turystycznego Pojezierza Suwalsko-Augustowskiego.

## O założeniu Studzienic

Bardzo, bardzo dawno temu nad brzegiem jeziora w Puszczy wówczas Perstuńskiej osiedlił się stary pułkownik ze swoim synem i żoną. Okoliczna ludność mówiła o nim, że walczył w Powstaniu Kościuszkowskim, a teraz chce odpocząć po latach żołnierskiej tułaczki. Zbudował dom i zaczął łowić ryby w jeziorze. Żona jego pracowała w polu, a syn codziennie wychodził do lasu, aby się bawić ze swoimi przyjaciółmi, których bardzo kochał.

Żyli wszyscy razem szczęśliwie. Szczęście nie trwało jednak długo. Pewnego dnia syn ciężko zachorował. Rodzice byli zmartwieni. Pułkownik natychmiast pojechał do znachora i poprosił go, aby przyjechał i wyleczył syna. Znachor przyjechał, zbadał chłopca, ale nie mógł stwierdzić co to za choroba. Powiedział tylko, że na syna rzucono czar, którego nikt nie zwycięży. Rodzice zrozpaczeni, całymi nocami siedzieli nieraz i zastanawiali się, co by tu zrobić, aby pomóc swojemu kochanemu synowi.

Tymczasem skończyły się zapasy i trzeba było ruszać do pracy, na połów, na polowanie. Pewnego pięknego ranka, kiedy dopiero słońce zaczęło wschodzić ponad lasem, rosa nie zdążyła wyschnąć, a na listeczkach drzew i krzewów lśniły krople rosy, pułkownik obudził się, obudził żonę i oboje podziwiali piękny ranek, następnie z otuchą w sercu ruszyli do pracy.

Nie minęło dużo czasu, po odejściu rodziców do pracy obudził się syn. Wiedział, że nikt nie może mu pomóc. Postanowił więc ostatni raz pobawić się ze swoimi przyjaciółmi. Ubrał się i wyszedł do lasu.

Po zabawie, gdy wracał do domu, był bardzo zmęczony i spragniony. Idąc drogą zobaczył nagle starą studnię. Napił się. Woda w studzienice była zimna i przejrzysta. Chłopiec nie mógł oprzeć się pokusie i napił się jeszcze raz. Nagle poczuł, że jest zdrow. Zaczął skakać, biegać, cieszyć się. Gdy ojciec wrócił z połowów, chłopak opowiedział wszystko. Ojciec bardzo się ucieszył i pobiegł do żony, podzielić się radosną nowiną. Rodzice znów byli szczęśliwi. Opowiadali o tym zdarzeniu wszystkim sąsiadom, wszyscy byli zdziwieni, lecz po pewnym czasie przekonali się o tym. Postanowili otoczyć opieką to

miejsce, wybudowali większą studnię - a woda z niej miała uzdrawiać ludzi.

Więść o tym rozniosła się po całym kraju, do osady leżącej nad jeziorem zaczęły ścierać pielgrzymki ludzi, którzy wierzyli w uzdrowienie. Ludzie nazwali to miejsce Studzienice, a jezioro, nad którym znajduje się ta osada Studzieniczne. Dla upamiętnienia tego wydarzenia do tej osady rokrocznie odbywają się pielgrzymki ludzi z całego kraju i zza granicy.

## Opowieść o Tałckim Bagnie

Bardzo, bardzo dawno temu żył w Puszczy Piskiej węglarz. Skąd przybył, gdzie się nauczył smażyć węgle - nie wiadomo. Nie wiedział o tym stary Mazur nazwiskiem Krupa, który mi o tym opowiadał. Jedno tylko nie ulega wątpliwości: żył sobie taki węglarz, mieszkał w środku puszczy i nieźle mu się powodziło. W lesie było drzew pod dostatkiem, latem jagód i grzybów co niemiara, a i zwierzyńę mógł zapolować. Nie wiedzieli o nim także Krzyżacy i nie wiedział okrutny komtur Zygfryd, którego twarde rządy wszystkim w okolicy dobrze dały się we znaki. Ludzie narzekali, ale daniny musieli do Pizsa znosić, a kto by się od tego uchylał, narażał się na srogi gniew komtura.

Węglarz miał piękną córkę Helgę, którą bardzo kochał. Po śmierci matki Helga gotowała, prała. Była dla ojca prawdziwą pomocą i pociechą. Znała puszcze, wędrowała po najdalszych jej zakątkach, zbierała jagody i grzyby. Kiedy skończyła szesnaście lat, ojciec powiedział:

- Trzeba nam, Helgo, przenieść się z puszczy między ludzi. Ja jestem stary, niewiele mi już od życia potrzeba, ale przed tobą świat stoi otworem. Nie dla ciebie życie w puszczy.

A Helga na to:

- Albo mi tu źle, ojczu? Rankiem i wieczorem słucham, jak szumią drzewa w puszczy i jak śpiewają ptaki. Kiedy zapragnę widoku słońca, biegnę nad brzed jeziora. Nigdzie mi lepiej być nie może.

Tak mówiła Helga i węglarz chętnie słuchał tego, co mówi.

Pewnego dnia wróciła do węglarni z młodym rybakiem. Uciekł z Mikołajek przed gniewem komtura Zygfryda. Nie mógł patrzeć spokojnie, jak pacholkiwie chcieli chłostą ukarać jego starego ojca. Porwał się na nich.

Węglarz wysłuchał opowiadania młodego rybaka i powiedział:

- Puszcza jest wielka, dla takich jak ty znajdzie się miejsce. Nie widziałem nigdy na oczy okrutnego komtura i nie chciałbym go widzieć. I ty możesz ukryć się w puszczy, dopóki o tobie nie zapomni.

- Mam już swoją kryjówkę na jeziornej wyspie i będzie mi tam bezpiecznie. Tam żaden komtur nie będzie mi straszny.

Odtąd w każdy dzień Helga przeprowaiała się czółnem na wyspę i przywoziła rybakowi dwojaczki z jedzeniem. Była szczęśliwa, gdyż pokochała Bogumiła. A stary węglarz przestał mówić o opuszczaniu węglarni.

Pewnego dnia puszcza rozbrzmiewała echem dziwnych, niepokojących głosów.

Splószone sarny i jelenie przemykały w popłochu przez gąszcza. Dotychczas nikt nie zakłócał życia puszczy. Przyjeżdżali leśnym traktem kupcy i podróżnicy, ale ich przejazd nie wywoływał niepokoju.

Wyszedł węglarz na próg chaty.

- Co się stało, ojcze? - pyta z trwogą Helga.

Nie zdążył węglarz odpowiedzieć, gdy rozległ się głos trąbki myśliwskiej, tętent i przed chatą zjawił się jeździec w białym płaszczu z czarnym krzyżem na piersiach.

- Kim jesteś? - zapytał rycerz.

- Jestem węglarzem - odpowiedział ojciec Helgi.

- A kto ci dał prawo wypalania węgla?

- Nikogo o takie prawo nie prosiłem.

- A więc jesteś rabusiem, który nie stosuje się do praw wydanych przez Zakon, i zostaniesz za to ukarany. Hej, pachołkowie, zwiążcie go i wymierzcie mu surową karę!

- Ulituj się, panie, i nie krzywdź mego starego ojca! - zawołała Helga. - Wskażę ci w puszczy żerowisko jeleni i dzików. Zaprowadzę do barci pełnych miodu. Tylko nie czyń, panie, krzywdy memu ojcu!

- Twój ojciec zasłużył na chłostę i kara nie może go ominąć. Chyba... że powie nam, gdzie ukrył się Bogumił z Mikołajek. Mów! - rozkazał komtur Zygfryd, gdyż on to był.

- Nie wiem, panie. Puszcza jest wielka i kto się w niej ukryje, trudno go znaleźć.

- A więc nie chcesz wydać buntownika! - krzyknął komtur i zwrócił się do pachołków: - Wymierzcie mu pięćdziesiąt batogów, a gdy je przetrzyma, resztę zapłaty odbierze ode mnie.

Rzucili się pachołkowie na węglarza, zdarli z niego szaty i związali mu ręce.

- Wstrzymajcie się! - zawołała Helga. - Ja wiem, gdzie ukrył się Bogumił, i zaprowadzę cię, panie, do jego kryjówki.

- Zabijcie mnie! - zawołał węglarz. - Zabijcie mnie, gdyż odtąd straciłem moją córkę!

- Dziękuj Bogu, że masz taką córkę - powiedział komtur. A do Helgi:

- Prowadź - powiedział - do kryjówki tego łotra, który, nim słońce zajdzie, zawiśnie na szubienicy.

- A mój ojciec? Każ go rozwiązać, panie!

- Twój ojciec poczeka na twój powrót.

- Każ mu rozwiązać ręce, panie, aby mógł się obronić od mrówek.

- Nie zasłużył na taką łaskę, gdyż sprzeciwił się mojej woli.

- Pozwól, panie, abym przynajmniej mogła mu podać kubek wody, żeby nie umarł z pragnienia.

- Czy chcesz - zawołał rozgniewany komtur - abym kazał i ciebie wychłostać?

- Bądź zdrow, ojcze - powiedziała Helga. - Wrócę wkrótce i zaopiekuję się tobą.

Przez dukty leśne i ścieżki wiodła droga, którą prowadziła Helga komtura Zygfryda i jego pachołków. Czasem przedzierali się przez gąszcza zagajników świerkowych, to znów wjeżdżali w cień wysokich sosen. Uciekały w popłochu sarny,



przemykały się jelenie, ale komtur nie myślał o polowaniu. Zniecierpliwiony przynaglał dziewczynę.

- Już niedaleko, panie - powiedziała Helga, kiedy dosięgli wysokiego wzgórza.

Tu zatrzymała się i wskazała krzewiastą dolinę:

- Za tą doliną, panie, rozciąga się wielkie jezioro. Nad jego brzegiem stoi szałas, w którym ukrywa się Bogumił. Każcie, panie, rozpędzić swoim pachołkom konie, aby mogli go zaskoczyć.

- Ja sam ich poprowadzę! A ty czekaj tu na nas, abym mógł cię wynagrodzić - powtórzył komtur.

I zwróciwszy się do swoich pachołków, krzyknął:

- Za mną!

Kępy traw wzbity się spod kopyt końskich, a po chwili rozległy się okrzyki przerażenia. Bo oto tam, w dolinie porosłej krzewami i trzcinami czekało na jeźdźców zdradliwe bajoro, które dziś nazywa się Tałckim Bagnem albo Krzyżacką Topielą. Po chwili ucichły krzyki i nad doliną zapanował spokój.

Wtedy Helga wróciła do ojca, uwolniła go z więzów i zaprowadziła do Bogumiła. Żyli odtąd razem na wyspie, gdzie ukrywał się młody rybak. Żyli spokojnie i szczęśliwie. Stąd ta wyspa na jeziorze nazywa się Szczęśliwą.

## Pierścień orlicy

(baśń mazurska z okolic Mikołajek)

Siedzi na przyzbie chaty matka, w oczach jej blask ciepły migoce, gdy patrzy na syna, na jego smagle, silne ramiona, połyskujące w słońcu, gdy unosi siekierę do góry i mocno uderzy nią w gruby pień drzewa. Szczapy lecą na boki, stos drewna coraz większy.

- Matko - woła donośnie syn - matko, nie martwcie się, na całą zimę drewna wam wystarczy, choćby i mnie czasem w domu nie było!

Dzielny jest Mikołaj, jak orzeł młody taki mocny i odważny. Jak topola wyrósł smukły, a mocny jak niedźwiedź w borze. Niestraszna mu ni burza na jeziorze, ni dziki zwierz. Łzy wzruszenia po twarzy zmarszczonej płyną, nie ociera ich stara matka, bo nie gorzkie to łzy, lecz tęcza w nich szczęściem rozbłyska.

Syn siekierę w pień wbił, przy matce siada.

- Matko, jutro do boru idę, na Niedźwiedzią Polanę. Barcie już pełne miodu, pszczoły nie próżnowały, lato piękne tego roku. Miodu ci, matko, przyniosę.

Nazajutrz ruszył Mikołaj w drogę. Do Niedźwiedziej Polany nie było blisko. Szedł najpierw brzegiem jeziora, połyskiwało w słońcu jak srebrna łuska ryby. W szuwarach słychać było trzepot skrzydeł, krzyk łysek i kurek wodnych. Błękitne ważki unosiły się nad sitowiem.

"Nie ma na świecie drugiego takiego jeziora" - myślał Mikołaj. "Hej, piękne te nasze Śniardwy jak żadne! I ogromne - w pochmurne dni brzegu drugiego nie dojrzeć".

Doszedł do jarzębiny; obok w szuwarach lekko kołysała się łódź rybacka.

Odwiązał łódź od pała, mocno wiosłem odepchnął i popłynął. Równy, miarowo uderzały wiosła o srebrzystą wodę, płynął do przeciwległego brzegu, a różne myśli przewijały się przez głowę. Gdyby tak kiedyś z niedźwiedziem oko w oko stanął albo orła bielika napotkać!

Gdy do drugiego brzegu jeziora dopłynął, powitał go szum starego boru, brzęk pszczoł leśnych, zapach kwiatów i leśnej żywicy. Paproć dawała wilgoć i chłód - jakby wachlarze zielone rozpościerały się nad ziemią. Znalazł się na Niedźwiedziej Polanie. Tu nad drzewami słychać było brzęczenie tysiąca ruchliwych leśnych pszczoł.

Rozpalił spróchniałe kawałki drewna, aby okurzyć małe pracowite mieszkanki największej dziupli. Dzban gliniany do miodu i nóż przygotował, kiedy nagle usłyszał jęk, a potem mocny ostry krzyk ptaka.

Serce mu zabiło. Nie mylił się! Gdzieś niedaleko krzyczał orzeł bielik, to jego mocne, niecierpliwe krakanie!

Przez gąszcza podszycia leśnego przedzierał się niecierpliwie w stronę, skąd dochodził głos. Z daleka ujrzał ogromnego ptaka leżącego na ziemi. Potężne skrzydła spoczywały bezwładnie rozpięte na igliwiu. Podszedł blisko. Przed nim leżał król ptaków orzeł bielik, orzeł, którego niełatwo spotkać w kniei. Głowa bezwładnie opadła na bok. Nagle rozległo się głośnie, rozpaczliwe krakanie. Spojrzał w górę, nad nim krążyła ogromna orlica. Widział połyskujące w słońcu jej piękne jasnoszare pióra. Orlica zniżyła lot. Odezwała się ludzkim głosem:

- Pomóż nam, człowieku. Widzisz tę sosnę wysoką jak masz? Orzeł ma skrzydła złamane, a na wierzchu sosny jest gniazdo. Opatrz rany orła i zanieś go do jego gniazda.

Mikołaj ochłonął ze zdumienia. Zdjął koszulę, podarł ją na strzępy, obandażował skrzydła orła. Orzeł leżał dysząc ciężko. Mikołaj owiazał go sznurem, który miał w torbie, i z trudem włożył swój ciężar na plecy. Orzeł krakał ochryple. A tu tymczasem wiatr zawodził w gąszczu drzew, zaczął padać deszcz. Jak z ciężkim ptakiem wspiąć się na wysoką sosnę? Wiatr szarpał bezkarnie nagie ramiona Mikołaja, deszcz smagał ostrymi igielkami. Pień drzewa był śliski. Ale Mikołaj wyrósł wśród surowej przyrody. Piął się ku górze po mokrym pniu drzewa. Ciężki, bezwładny król ptaków zwiślał mu przez plecy.

Orlica niespokojnie krążyła nad nim. Pot i deszcz zalewały oczy i twarz Mikołaja, wicher ostrymi gałęziami bił po ramionach. Wreszcie dotarł do wierzchołka drzewa i ciężar swój złożył w dużym, mocnym gnieździe. Odetchnął.

Orlica usiadła na gałęzi obok gniazda.

- Dziękuję ci, człowieku, za pomoc. Weź ode mnie ten pierścień. Z żelaza jest, nie ze złota, ale moc jego trwalsza niż złoto i żelazo. Trzy razy tylko możesz tej mocy użyć w dobrej sprawie. Pierścień ten tylko dobremu człowiekowi służyć może, a ty na niego zasługujesz. Niech przyniesie ci szczęście i radość.

- Niechże będzie - rzekł Mikołaj. - Największa to jednak uciecha, żem orła bielika tak z bliska ujrzał, a radość, żem wam dopomógł. Żegnajcie!

Powrót do domu był trudny. Burza rozszalała się na dobre, jezioro huczało,

ogromne fale zakrywały Łódź. Niebo raz po raz przecinały błyskawice. Czuł się bezradny w walce z żywiołem. Łódź raz unosiła się wysoko na grzbieciech fal, to znów nagle spadała jakby w wielką przepaść między fale. Ale powoli burza zaczęła się uciszać i Mikołaj znalazł się wreszcie na lądzie.

Zabłyśło słońce. Mikołaj ruszył w stronę wsi. I nagle z daleka ujrzał ogromny słup dymu i ognia: jeden, drugi, trzeci... To jego wieś się paliła. Rzucił się jak oszalały, biegł bez tchu. Słysząc już krzyki, płacz. Skoczył Mikołaj jak żbik między ogień. Nie zważając na płomienie i walące się belki wyniósł z ognia dwoje dzieci. Znów skoczył w ogień. Ludzie z przerażeniem patrzyli, jak nikł im z oczu i znów wyrastał. W blasku ognia połyskiwały tylko jego potężne nagie ramiona.

Wieś jednak spaliła się doszczętnie. Spłonął i dom Mikołaja, ale on nawet o swoim nie myślał. Tak serce ścisnęło mu się na płacz dzieci i ludzką rozpacz. Robił, co mógł, ale miał tylko dwie ręce. Spojrzał na ręce i nagle drgnął. Zapomniał zupełnie o darze orlicy. Na serdecznym palcu połyskiwał żelazny pierścień. Czy mógł znaleźć w nim radę?

- Orlico, w imię twoje, dopomóż mojej wsi! - wyszeptał.

Zerwał się wichur, ciemność zaległa świat. A gdy wyjrzało słońce, wieś stała znów jak dawniej, tylko piękniejsza i dostojniejsza. Znów w ogródkach kwitły złote nagietki, wysmukłe malwy. Chata jego stała jak dawniej wśród starych jabłoni, tylko nowa strzecha połyskiwała jak szczere złoto. Spostrzegł matkę na progu chaty.

- Synu - wołała - synu, co to było? Ten ogień, ten jęk? Czy to zły sen? I co to się teraz stało? Nie sen to, bo do tej chwili serce mi bije - z trwogi o wszystkich, a najbardziej o ciebie. Tak dzielnie walczyłeś z ogniem.

- Nie czyniłem nic, prócz tego co wszyscy. Zwyczajnie.

- Synu, a to co widzisz teraz? Przecież znów stoi wieś i ludzie ze zdumienia przemówić nie mogą.

Usiadł Mikołaj koło matki i opowiedział jej wszystko, co się jemu wydarzyło.

- Pierścień orlicy to uczynił, matko. Tylko trzy razy mogę użyć jego mocy. Ale nikt o tym nie wie.

Mijał czas. Życie toczyło się we wsi zwykłym trybem, jezioro dawało ryby, pole zboże, las pełne wory orzechów, kosze grzybów i jagód. Znów echo niesło w ogrody i łąki melodie starych pieśni.

Minęło kilka lat. Mikołaj jeździł na połowy, ryby wędził, woził do miasta na kiermasz. W czasie tych podróży wiele widział i wiele się uczył. Ale nigdzie nie wydawało mu się piękniej niż nad jego jeziorem. Pewnego razu, gdy wracał z dalszej podróży, na horyzoncie ujrzał dym. Wiatr z daleka przynosił jakby jęki ludzkie i szcęk oręża. To wróg napadł na cichy jego kraj. Straszne słowo "wojna" zmroziło mu serce.

Ludzie rzucali domostwa, dobytek, ciągnęli w stronę grodu. Gród przygotowywał się do obrony, spieszenie zniesiono olbrzymie kamienie, drewniane belki. Wróg był tuż tuż. Nie wszyscy zdążyli schronić się za mury. Mikołaj przedzierał się

przez lasy sobie tylko znanymi drózkami i widział kobiety, dzieci powiązane sznurami. Pędzono je w niewolę. Wsie paliły się, dymy pożarów snuły się po polach.

Pierścień orlicy! Czy pomoże mu? Użyje jego mocy po raz drugi.

- Orlico, w imię twoje, niech wróg zostanie pobity! Pomóż, orlico, jeńców ocalić i wrócić pokój na nasze jeziora.

Spełnił pierścień orlicy prośbę Mikołaja. Pobito wroga, odebrano jeńców. Zapanowała znów cisza nad mazurską ziemią.

Mikołaj wrócił do swej rodzinnej wsi, do swej matki. Ona jedna wiedziała, że stało się to za mocą pierścienia orlicy i szlachetnego serca Mikołaja.

Znów płynęło życie spokojne i pracowite.

- Synku - mówi raz matka, gdy wrócił do domu z jeziora. - Przysłano po ciebie z grodu. Mówią, że tak umiesz ryby wędzić, że w smaku żadne im nierówne. Pan kazał ci przynieść ryby.

- Mogę mu zanieść, niech tam kosztuje.

Mikołaj przygotował wielki kosz najwspanialszych ryb. Ruszył z nimi do grodu. Pan przyjął go łaskawie, dał mu pieniądź złoty, i kazał częściej z towarem przychodzić. Wracał Mikołaj pogwizdując, schodził z górki lekko z pustym koszem, gdy nagle ujrzał dziewczynę. Mała i chuda niosła na nosidłach dwa ogromne wiadra wody.

Podszedł bliżej i zobaczył twarz tak brzydką, że aż zadrżał. Dziewczyna spojrzała na jego smutno, chciała usunąć się z drogi i zachwiała się. Widać była bardzo zmęczona.

- Daj, pomogę ci - rzekł Mikołaj.

- Pomożecie? Ale nie, dziękuję za waszą dobroć. Ludzie śmiać się z was będą, że takiej brzyduli pomagacie.

Mikołaj w milczeniu wziął wiadra od dziewczyny i zaniósł pod sam gród. Tu dziewczyna zatrzymała go.

- Nie nieście dalej, nie trzeba, aby ojciec ujrzał, że mi ktoś pomaga. Mówi, że swoją brzydota przynoszę mu wstyd. Dlatego daje mi najcięższą pracę.

Zapłakała cichutko i uniosła swój ciężar z wysiłkiem.

Odtąd często Mikołaj przynosił wędzone ryby do grodu. Potem czekał na dziewczynę u stóp wzgórza, aby pomóc jej zanieść wodę z jeziora.

Pewnego razu spotkał dziewczynę tak pobitą i posiniaczoną, że serce w nim zadrżało. Siedziała w przydrożnym rowie i ocierała zakrwawione nogi listkami babki i podbiału.

- Co ci się stało? - zapytał.

- Dzieci obrzuciły mnie kamieniami - zapłakała. - Tyle ludzi cieszy się słońcem, a dla mnie ono nie świeci. Kocham swego ojca, ale moja brzydota budzi w nim wstręt. Psy nawet wyją na mój widok. Tylko ty jeden...

Zapłakała rzewnie.

Ze smutkiem tak wielkim patrzyła na niego, że usiadł obok dziewczyny.

- Jak ci na imię?

- Dziewanna - choć niczym dziewanny nie przypominam.
- Słuchaj, Dziewanno, gdy wrócisz do ojca, podejdź do niego blisko.
- Uderzy mnie.
- Nie bój się. Podejdź i patrz mu w oczy. Uwierz mi.
- Jeśli mi każesz, uczynię to, choć bardzo się boję.

Kiedy zaniósł dziewczynie wodę, czekał ukryty za drzewami, aż zniknie mu z oczu. Wtedy dotknął żelaznego pierścienia.

- W imię twoje, orlico, niech pierścień spełni to, czego żądam. Niech Dziewanna stanie się piękna i szczęśliwa.

- Ostatnie to życzenie, które może ci się spełnić - rozległ się nagle głos. - Czy dla siebie nic nie pragniesz w życiu? Nie pragniesz skarbów, złota, dostatków? Nie chcesz władzy?

To był głos orlicy. - Gdzie ona była? Wokół ani szelestu skrzydeł, ani żadnego nawet cienia. Czy to pierścień przemówił?

- Nie pragnę niczego, jedynie tego, o co proszę. Niczym nie cieszyłbym się, gdybym wiedział, że mogłem ocalić tę biedną, dobrą dziewczynę i nie uczyniłem tego, bo myślałem tylko o sobie. Spełń moją prośbę, pierścieniu, w imię orlicy proszę cię.

- Dobrze. Spełni ci się twoje życzenie, szlachetny człowieku.

Mikołaj poczuł się lekko, jakby mu ktoś skrzydła przypiął do ramion. Pierścień nie miał już mocy, ale on w sercu dziwną czuł moc i radość.

Minęło dni niewiele, kiedy przysłano po niego z grodu. Nałowił kosz pięknych ryb i poszedł. "Nie spotkam już teraz Dziewanny" pomyślał. Kiedy wszedł na dziedziniec, w oknie ujrzał piękną dziewczynę. Skinęła ku niemu ręką i uśmiechnęła się radośnie. Kto to może być? Zobaczył ją za chwilę z bliska. Była olśniewająco piękna.

- To ja, to ja Dziewanna... Mój przyjacielu, stało się coś, o czym nie umiem opowiedzieć. Czy mnie nie poznajesz? To ja, dawna brzydula. Uśmiechnij się do mnie, proszę.

- Cóż to, z rybakiem prostym wdajesz się w rozmowy - zagrzemiał nad nimi głos. To pan grodu stał nad nimi - wyniosły i srogi.

- Ojczy, kto był dobry dla biednej brzydkiej dziewczyny, ten na zawsze zostanie jej ukochanym przyjacielem. Wierzę, że dzięki niemu stała się tak wielka odmiana.

Niedługo potem odbyło się huczne wesele rybaka Mikołaja z Dziewanną. Bolał srodze w swej dumie pan grodziska, że córkę zwykłemu rybakowi za żonę dać musi, ale jakaś moc czuwała nad nimi i nie zdołał się jej sprzeciwić.

Stara baśń mówi, że gdy Mikołaj i Dziewanna jechali do ślubu, para potężnych orłów krążyła nad ich głowami.

Żyli młodzi podobno długo i szczęśliwie, kochani i szanowani przez ludzi. I podobno Mikołajki noszą nazwę na pamiątkę szlachetnego rybaka Mikołaja, który mocy pierścienia użył dla dobra innych.

## Sieja w jeziorze Wigry

Kiedyś, kiedyś pomiędzy kamedułami w Wigrach był jeden rodem z Włoch, zapalony miłośnik rybołówstwa. Sielawy, szczupaki i inne ryby poławiane w jeziorze nie wystarczały mu. Chciał koniecznie zaprowadzić sieje, które jadał jeszcze w swej ojczyźnie. Ale jak się wziąć do tego? W tym sęk: w owe czasy rybołówstwo nie stało jeszcze tak wysoko, jak obecnie, a o sztucznym zarybianiu stawów zapewne nie wiadomo było.

Chodził sobie zakonnik po celi jednego wieczoru, rozmyśla, rozmyśla i tak w tych rozmyślaniach utonął, że ani spostrzegł się, gdy dwunasta na zegarze klasztornym uderzyła. Równocześnie z wybiciem ostatniego dźwięku coś zabłyśło w celi, rozszedł się zapach siarki - przestraszony zakonnik patrzy, aż tu przed nim stoi w pluderkach obcisłych, we fraku ten jegomość, którego Mickiewicz w balladzie "Pani Twardowska" takimi opisuje słowy:

...Istny Niemiec, sztuczka kusa,  
Skłonił się gościom układnie.  
Zdjął kapelusz i dał susa  
Z kielicha, aż na podłogę  
Pada, rośnie na dwa łokcie.  
Nos jak haczyk, kurzą nogę  
I krogulcze ma paznokcie.

Niespodziewany gość kameduły kubek w kubek wyglądał tak samo. Spod fraka zwieszał się długi ogon, a na głowie sterczały ostre różki...

Skłonił się diabeł zakonnikowi i powiada:

- Wielebny ojcze, wiem powód twej zadumy. Ale nic z tego, siei w jeziorze nie będzie, chyba że ja ci pomogę.

- Cóż chcesz za pomoc? - spytał kameduła.

- O! Nic wielkiego - żebyśmy tylko zakład zrobili. Ja polecę do Włoch, nachwytam po jeziorach tyle siei, ile tylko udźwignąć będzie można, i rozrzucę po jeziorze. Muszę jednakże w mig sprawić się z robotą, bo Włochy daleko, a ryba wyjęta z wody wnet życie traci. Jak myślisz, szanowny ojcze, wiele na to czasu trzeba?

- Mniej więcej dwa, trzy dni - odpowiedział zakonnik.

Zaiskrzyły się szatanowi ślepia z radości, że zakonnik w rozmowę z nim się wdaje, boć przecie mógłby go od razu krzyżem świętym het na cztery wiatry przepędzić, więc w zapale krzyknął:

- Za godzinę będę z powrotem! - A widząc powątpiewanie na twarzy kameduły, dodał:

- Założmy się. Jeżeli wrócę na czas i zarybię jezioro tak, że w nim pełno siei po wszystkie będzie czasy, to szanowny ojciec w nagrodę da mi duszyczkę swoją... Czy zgoda? Bardzo jednak być może, że się spóźnię, droga daleka, a godzina

mija tak prędko. Ponieważ jednak słowo się rzekło, więc go nie cofam. Spóźnię się choć o ćwierć minuty, moja przegrana: sieję wrzucę do jeziora, a sam wrócę z kwitkiem tam, skąd przyszedłem.

Od słowa do słowa, z targu w targ, stanęło na tym, że diablik ma za pół godziny cały transport ryb z Włoch dostawić.

Trochę z początku kręcił kusy nogami na tak krótki termin, ale w końcu namyślił się i wyleciał oknem, tak iż tylko zafurczało w powietrzu.

Zakonnik tymczasem chodzi po celi i cieszy się, że diabła wyprowadzi w pole. Bo gdzieżby kto w pół godziny z tak dalekiej strony mógł powrócić? Pomału jednakże strach zaczyna go ogarniać, strach coraz większy - już i nogi dygocą pod nim, i pot zlewa czoło... A nuż diabeł na czas powróci? A nuż...

- Jezu Chryste, ratuj mnie grzesznika! - wykrzyknął i ile miał sił pobiegł na wieżę, ażeby z bliska popatrzeć na fatalne wskazówki zegara.

Jeszcze pięciu minut brakuje... Przerażony zakonnik padł na kolana i wielkim głosem miłosierdzia bożego wzywać począł:

- Nie karz, Panie, za lekkomyślność! Daruj! - I krzyżem świętym machał w powietrzu, żeby złemu duchowi przystęp do siebie utrudnić.

Wtem coś w oddali zahuczało, iście jakby grzmot szedł po chmurach... Zakonnik wpół żywy żegna się ciągle... a grzmot wzmaga się... rośnie... huczy, niby morze w gniewie... Ogłuszony, na wpół żywy pada nieszczęśliwy kameduła na ziemię i choć nie widzi, czuje, jak postać straszna wskroś przez powietrze ku niemu zdąża, jak krogulcze szpony dosięgnąć go mają, gdy wtem zegar bić zaczyna... Jeden, dwa! O Boże miłosierny, co się to stało? Przed chwilą brakowało tylko pięciu minut, a teraz już druga! Cud! Cud! Dzięki Ci, Boże!

Korzy się zakonnik przed Panem - a tuż obok rozlega się zgrzyt straszliwy, potem szum i plusk, jakby tysiące drobnych ciałek w wodę wpadło. To diabeł zawiedziony i wściekły z gniewu, że się spóźnił, rzucił sieje w jezioro, a sam runął z powrotem do piekła. Ale ze złości ścisnął tak mocno biedne ryby, że krwią się zalały i od tej chwili sieje wydobyte z wody zawsze są zakrwawione.

W ten sposób tłumaczą sobie to zjawisko ludzie nieoświeceni; nauka mówi co innego, a mianowicie, że sieja wyjęta z wody natychmiast dusi się i krew ją zalewa.

## SPIS WYKORZYSTANYCH PRAC:

**BAŚNIE POLSKIE** / wybór i oprac. Tomasz Jodełka-Burzecki. - Warszawa: LSW, 1986

**CZAJKOWSKI MIECZYŚLAW:**

Legendy supraskie / wybór Janina Markowska. - Białystok: Związek Nauczycielstwa Polskiego, 1989

**NIE WSZYSTKO BAJKA:** polskie ludowe podania historyczne / wybór, wstęp i komentarze Janina Hajduk-Nijkowska. - Warszawa: LSW, 1983

**NOWAK ZDZISŁAW:**

Jak Boruta zakochał się w karczmarzowej córce: baśnie i legendy kurpiowskie. - Warszawa: Nasza Księgarnia, 1988

**OLESIK KLEMENS:**

Czarownica znad Beldan. - Warszawa: KAW, 1989

**ORŁOŃ JAN, TYSZKIEWICZ JAN:**

Legendy i podania polskie. - Warszawa: PTTK "Kraj", 1988

**WODA ŻYWA:** baśnie pisarzy polskich / zebrała Stefania Wortman. - Warszawa: Nasza Księgarnia, 1975

**WÓJCICKI KAZIMIERZ WŁADYSŁAW:**

Klechdy, starożytne podania i powieści ludowe / zebrał i spisał...; wybór i oprac. Ryszard Wojciechowski; wstęp: Julian Krzyżanowski. - Warszawa: PIW, 1981



